

RAPTULARZ
PANA MATEUSZA JASIENIECKIEGO.

RAPTULARZ
PANA MATEUSZA JASZENIECKIEGO

Z ORYGINALU PRZEPISANY

mutatis mutandis,

PRZEZ

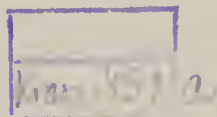
J. I. KRASZEWSKIEGO.

365

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1881.



Дозволено Цесарюю.
Варшава, 15 Октября 1880 года.



Spełniając rozkaz najlaskawszego stryja dobrodzieja mojego osobliwego, ponieważ woła jego było, ażebym moje ewenta czasu podróży do Warszawy opisał: submittuję się i, jakkolwiek do pióra nie czując się zdolnym, bo to nigdy profesją moją nie było, raptularz ten, w imię Boże rozpoczynam.

Atoli, księżu kanoniku dobrodzieju, wprzódym nim do tego ciężkiego dzieła się zaprzęgnę, nad które wołałbym bodaj pług ciągnąć—(Bóg mi świadek), zamawiam sobie, abym zbyt surowo sądzonym nie był. Piszę to jedynie dla jegomości dobrodzieja, którego o ile wysoce poważam i szanuję, przecie względem niego familijnym się czuję; więc na swadę ani na stylizowanie sadzić się nie będę, a piszę co mi samo na pióro przyjdzie.

Niechże będę sądzonym wedle stanu mojego, jako prosty hreczkosiej, który tylko *summa ne-*

cessitate victus do pióra się porwał: przebaczenie mi winy moje. Pisać tak tylko umiem, jakoby m mówił!

A żem księdza kanonika dobrodzieja, stryja mojego najlaskawszego, dawno nie oglądał z powodu, iż mu do mojego lichego Jasiénca ta niemiłosierna pedogra dojechać nie daje, mnie zaś do Lucka, *res augusta* wybrać się nie dozwalała: muszę więc *ab ovo* niemal poczynać jak do tego przyszło, że ja domator, do téj nieszcześnej Warszawy tłuć się musiałem.

Z dobrej woli méj nigdy tego nie uczyniłbym, tak mi Boże dopomóż: ambicyi nie inam, świata widzieć nie byłem żądny, pieniędzy téż zbytku do rozrzucania nie czulem.

IMé pani starościna motuńska wszystkiemu winna.

Wiadomo księdzu kanonikowi, iż od śmierci najukochańszej matki méj, pozostawszy sierotą w tym Jasiénku, choć z ciężarami jeszcze po nieboszczyku ojcu wziętemi, dawałem sobie radę jakem mógł. Stodołę nową w słupy postawiłem, która nas pewnie przeżyje, dwór wyreparowałem i gontami pobilem, rowy restaurowałem, inwentarza przyniżyłem, a panu Milewskiemu długu napastliwego dwa tysiące spłaciłem.

Legata jejności pani matki tak Rewakowiczowój jak Żyrskiemu i starój Julianie powypłacałem téż. Na msze święte i anniwersarze, wedle woli obojga rodziców dawałem regularnie. W kasie téż choć nie było wiele, zawsze talarów kilkadziesiąt bitych się znalazło na czarną godzinę.

Na same Zielone Święta, nie nie oznajmując mi się wcale, bobym się był na przyjęcie przystojniejsze przygotował, ciocia starościna zjechała nagle do Jasieńca.

Bóg widzi, o ilem jój był rad i szczęśliwy, że rączki szanowne ucałować mogłem, o tyle strachu doznałem nie bez racyi. Wiadomo jegomości dobrodziejowi, jak starościna do wygod jest nawyklą, w dostatkach opływając; a tu u mnie, chuda fara: ani mięsa, prawdę rzec, ani żadnych wykwintów na podorędziu; przytém sześć koni w karocy, a u mnie owsa młóconego nie wiem czy korzec.

Więc radość radością, strach téż był niemały, aby się nie gniewała, bo zawsze żywą jest i drażliwą wielce. Prowadząc do pokojów, serce mi biło, jak ja tu z tego wybrnę.

Widać że starościna to postrzegła po mnie, a jako bystrą jest, domyśliła się zaraz o co idzie. Powiada tedy siadając i oglądając się:

— Słuchaj panie Macieju! Ja już wiem, że ty frasujesz się jak mnie przyjmiesz, bo u ciebie zapasu żadnego niéma, a może i owsa młóconego dla koni; więc uprzedzam, że na ten raz folguję. Za winę nie poczytam: powinienam mu była dać znać.

Ucałowałem jój ręce, a ona zaraz dodała:

— Pięć korey owsa jest na wozie co szedł za mną, bobym przysięgła, że u ciebie po siejbie w śpichrzu chyba poślady; mięsa wołowego ka-
załam w miasteczku wziąć kawalek...

Uśmiechnęła się, a ja w kolanom ją pocałowałem.

Takięj przenikliwości na świecie przykładu nie było!

Przyznałem się, że świętą prawdą jest, co wyprorokowała i to ją w dobry humor wprowadziło.

Wieczora tego jakoś deszczyk pruszył, więc tylko po dworze się rozglądała, nie wychodząc na próg; ale mi zaraz zapowiedziała, że jutro mustre zrobić musi całego gospodarstwa mojego.

Nie mogę też za złe poczytać starościnie, iż z miłości ku matce méj i dla mnie, troskliwą jest o to jak mi się powodzi. Zapowiedziała zaraz po wiecerzy:

— Jutro będę po wszystkich kątach i dlatego *insperate* tu spadłam, abym rewizyą uczyniła i prawdy się dowiedziała.

W rozmowie tegoż wieczora poczęła mnie badać: odpowiadałem bez blichtru żadnego, prawdę szczerą, bo się wszelkiem kłamstwem brzydę.

Rzekła mi w końcu:

— Widzę, że acan, panie Macieju, nie opuszczasz się, ale też śmiałości nie masz, i prawdziwy Maciek z waszeci: co zrobił to zjadł. Cóż ty myślisz na tym chudym Jasieńcu siedzieć i biedę klepać? a co to z tego będzie?

Tłumaczyłem się tedy, iż obowiązanyłem się czuję utrzymać co z łaski rodziców miałem, ale do krescytywy sposobów i dróg nie widzę: z golemi rękoma nic począć nie mogę, z palca nie nie wylamię.

Oua na to:

— Właśnie, mój Macieju. z palców kto nie umie wylamywać, a z niczego coś zrobić, ten nigdy nic mieć nie będzie. Trzeba iść do głowy po rozum.

Powtórzyła razy kilka:—mnie bo waści żal...

Rano po kawie, że dzień był ekstraordynaryjnie piękny, a jeszcze niezbyt dopiekało, starości-na jak stała na rano ubrana, w pudermantlu

i czepcu białym, wybrała się ze mną po gospodarstwie.

Tym ją musiał admiirować, choć pocilem się dobrze, bo najmniejszego kącika nie pominęła, a choć wszystko było w porządku, znalazła wiele do monitowania. Stodolę nową krytykowała, żem małą postawił, a i belki zacienkie dali; krowy się jój wydały chude, nierogacizna złego gatunku, w spiżarni zapasu mało... Pochwaliła dosyć pilność moję, a i zasiewy, o ile mogła widzieć z zasadu, znalazła porządnie zrobione, wszelako wszystkiego tego jój było zanalo.

Mnie już dobrze nogi i głowa bolala od tego chodzenia, nie licząc żem w chlewku guza nabił z prędkości wchodząc, za co jeszcze burę dostałem, a starościna coraz nowe zakamarki wynajdowała.

Nie było kąta gdziebyśmy nie zajrzeli, a że gnojn nadto się zostało nie wywiezionego, i za to oberwałem.

Gdyśmy powrócili, za co Panu Bogu dziękowałem, szła się ubierać, a jam cokolwiek spoczął; ona zaś, jak zawsze, temperamentu żywego, tyle tylko, że suknię wdziała i do gościnnej izby, gdzie mi na siebie czekać kazala, stawiała się.

Musiałem się przy niej, gotując się na kanie (*sit venia verbo*). Poczęła tedy:

— Mówmy, panie Macieju, otwarcie. Człek jesteś stateczny, gospodarstwo u waszeczki niezgorzse, ale to nie dosyć. Ruszajże się a myśl o przyszłości.

— Cóż ja tu wymyślę?—rzekłem.

Począłem się spowiadać, jako wyżej, że przecie z założonemi rękami nie siedzę; żem Milewskiemu dwa tysiące, legata Rewakowiczowej, Żyrzkiemu i Juliannie pospłacał...

— To mizerne są rzeczy—rzekła na to.

— Wedle stawu grobla.

— Staw trzeba waszeczki rozkopać—powiedziała—póki młody jesteś a siły potem, krzątać się trzeba; gdy brzucha dostaniesz i łysiny, to już tylko pod piecem ci siedzieć i piwo z grzankami ciepło popijać... Widzisz—dodała—nie wiesz nic; nie myślisz o niczym: ja muszę za ciebie. Pod boki o granicę, starostwo siedliskie zawakowało; małe ono jest, nie bardzo kto się na nie połąkami, ale zawsze coś...

— Starościno dobrodziejko—odezwałem się—gdzież i jak, którądy mnie chudemu pacholcowi do tego starostwa?

Poczęła się śmiać, klepiąc mnie po głowie.

— Nie święci garnki lepią. Nie jesteś gorszy od drugich, ojciec się przecie rzeczypospolitej wysługiwał, a nigdy nie nie dostał: pamięć jego rewindykować możesz i powinienesć.

Jam już tylko słuchał, a ona ciągnęła dalej:

— Ojca nieboszczyka po kądzieli krewny Młodziejowski biskup, Mokronoski też generał go lubił i siłą mu obiecywał. Toż ze dwoma takimi protektorami o liche starostwo siedliskie starać się można. Młodziejowski człek kuty, generał królowi jegomości tak jak szwagier. Zastukać, pokłonić się, pochodzić, choćby gdzie w kancelaryi i zapłacić... Starostwo możesz wziąć.

Za dobre chęci i rady dziękując starościnie, prawdę powiedzieć musiałem.

— Nie licząc tego — rzekłem — że ja się do tych wysokich progów nie czuję kwalifikowanym, do których ani odwagi, ani maniery dworskiej nie mam, z czemże jecliać?! Podróż przy największej ekonomice kosztuje, Warszawa chłonie pieniądze jako przepaść, tuż kancelarye, pieczęci i prezenta... Lekko licząc, bez jakich dwóchset czerwonych złotych ani ruszyć, bobym się na śmiech podał i pogardę, a choćbym kredyt znalazł, wartoż pewny dług zaciągnąć dla niepewnego zysku?...

Patrzała na mnie usta ściągając.

— Byleś odwagę i ochotę miał — rzekła.

A tum ja ani jednej ani drugiej w sobie nie czułam. Westchnąłem tedy.

Uderzyła mnie po ramieniu.

— Na babęś się urodził, a kto więc czybyś i naszemu losowi podolał z tą małoduszością. Wstydz się!!

Milczałem.

— Więc cóż?

— Z ust pani starościny przyjmuję wszystko — odpowiedziałem — jakby od matki rodzonej, ale *ad impossibilia nemo*.

Nie dała mi dokończyć.

— Co za *impossibilia*! Dla tchórzów wszystko niemożliwe.

Z tem szliśmy do stołu, a mnie to tak oprymowało, że o mało krupnik nie porozlewał. Staroscina przy obiedzie była wcale dobrej myśli, tylko moją kucharkę ganiła, ale na to ja byłem przygotowany. Grzybek się nie udał, a kurę dali twardą.

Po obiedzie, gdyśmy wrócili do izby gościnnej, nie siadając jeszcze, powiada mi:

— Pojedziesz asindziej do Warszawy, listy mam do Młodziejowskiego i do generała gotowe; a dwieście pięćdziesiąt czerwonych złotych przy-

wiozłam z sobą, bom wiedziała, że zapasu nie masz. O starostwo siedliskie starać się trzeba.

I tu podniosła głos prostując się.

— Nie dadzą ci go, ja o dług nie będę naglila; przynajmniej świata powąchasz, ludzi zobaczysz. Kto wie, może gdzie żonę upatrzysz, bo ci jej tu nikt do Jasieńca nie przywiezie.

Na wspomnienie to, przyznaje się księdzu kanonikowi dobrodziejowi, ciarki po mnie przeszły, gdyż niczego tak jak ożenienia się nie obawiałem.

Racy na to podać nie umiem, może z wrodzonej nieśmiałości to pochodzi; lecz ile razy o małżeństwie myślałem, prosiłem Boga aby prolongatę zyskać i żeby los mnie nie przynaglał.

O ile raj dać może ożenienie, tak samo i piekło w dom wprowadzić...

Ekskuzowałem się staroście, że o tém wcale nie myślę.

— A to źle bardzo robisz, że nie myślisz o tém co cię czeka. Ożenić się musisz, ja miejsce matki zastępując, dopilnuję. Kawalerem ci starym nie dam być, bo to wstydliva i grzeszna rzecz.

Skracając tedy powiem, iż tegoż dnia musiałem słowo dać staroście, że nie później jak za tydzień do Warszawy pojadę i wedle instrukcyi

jéj o starostwo siedliskie starać się będę. Przy-
czém mi wyliczyła z łaski swéj co przywiozła, nie
chcąc przyjąć rewersu ani na piśmie nie.

Nazajntz potém kazawszy, aby konie rano za
chłodu gotowe były, jeszcze mi admonicą dawszy
jedną i drugą, bo nawet siadłszy do powozu, z nie-
go jeszcze gdy już konie ruszały powtarzała swo-
je: wyjeżdżała z Jasieńca, słowem mnie uroczy-
stém zobowiązawszy, że do tygodnia mnie tu nie
będzie.

Przyrzekłszy tedy jéjmości a méj najosobli-
wszój dobrodziejce, gdym potém sam został z my-
śłami, dopiero mi się nastraszył, com za obowiązek
na się wziął.

Spowiadał się przed kanonikiem jak przed
ojcem, abym na pobłażanie i sąd łagodny zasłużył.

Gdy się przyszło rozpatrzyć najprzód w szka-
pach, potém żeby wózek ludzi nie śmieszył, da-
lój żeby woźnica był przystojnie odziany, a tu
uprząż, a tłumok, a wszelaki przybór podróżny:
Jezu miłosierny! za głowem się chwycił, prosząc
opieki Matki Boskiej, aby mnie z tych trudności
niezmiernych (zważywszy krótkość czasu) dźwi-
gnąć raczyła.

A było bo się czém kłopotać.

Na koniach n muie, chwalić Boga nie zbywa, ano inna rzecz koło domu się niemi posługiwać, a co innego w długą podróż się wybierać. Z téj czwórki którą jeździwałem, klacz kasztanowata ze źrebięciem, i to małem jeszcze, więc w taką drogę zabierać byłoby łośzę na stracenie skazać... O nieszczęście łatwo, a ja na to źrebię rachowałem, bo po podskarbiego stadniku, i w ojca się wdało.

Dalój dyszlowy walech po zagwożdżeniu kulał, choć mu nic nie będzie, ale na gnoju musi stać póki wydobrzeje. Na jego miejsce z przyprzążki wziąć gniadego, to z dyszlową nie pójdzie równo i ta się będzie zaciągać. Słowem, już z temi końmi samemi biędy dosyć. Chomała wszystkie reparacyi potrzebowały. W domu albo do kościoła to się lada sznurem zamota, przywiąże, załata siako tako, a w dalszą drogę nie sposób. I wstyd ludzi i niewygoda: ciągle stój, a wiąż.

Bryczka po nieboszce, nie można powiedzieć, bardzo porządna, ano i téj przypatrzwszy się, defekta się znalazły. Fartuch ekstra sfatygowany i od deszczów się pościagał a połupał, na budzie dziur kilka, przedbia oś niepewna, jedno koło z obręczą obluzowaną, lusznie wycheltane.

Zarazem postrzegł, że o niej mowy być nie może. Drugi węgierski wózek choć trzęsący, trzeba było brać.

Tom już postanowił tego dnia, do masztarni i wozowni poszedłszy.

Chłopcu siermięzkę nową kupić, był mus. Tłumokowi mojemu, oprócz dwóch sprzążek, nie brakło nie tak dalece.

Ale tu dopiero *verbum personale*, garderoba moja.

Ja tu około Jasieńca nie wiele potrzebuję: do kogo się będę ubierał?! Na powszedni dzień w lecie, kitel biały, zimą kożuszek albo lisiurka krótka, i po wszystkim; do Warszawy zaś, między obcych, gdzie jak cię widzą tak cię piszą, psim swędem się nie obejdzie.

Mogę powiedzieć, że mało co do sukni paradniejszych zaglądając, krom świąt i imienin, nie dobrze sam wiedział co tam jest. Stary Wawrzyniec, na wiosnę przewietrzył dobywszy z kufrów suknie i fntra, potem pozamykał i na tém się skończyło. Pamiętałem, że po nieboszczyku dziedzie i ojcu dostatek i zapas jest wszystkiego, a ry sie jeszcze z pradziadka: nie frasowałem się do téj pory. Aż gdy przyszło myśleć o wojażu, trzeba było i wybór zrobić i przymierzać.

Kazałem z Włodawy żydka Majorka przywieźć, wiedząc że robił, bywało, i dla Sapiehów i u Fleminga na dworze: wiedziałem że obedrze, ale na to rada jaka?!

Gdyśmy kufry i szafy wyładowywać zaczęli, ażem się zdumiał własnemu bogactwu, bo delij, kontuszów, żupanów, półżupaników, ubrania z węgierska i husarska i pasów i okryć wszelkich znalazła się mnogość straszna. I nie mogę powiedzieć, tylko że Wawrzyniec doglądał pocziwie, bo żeby gdzie mól nadwerczył; ale dużo się zleżało i splowiało, a gdy mierzyć przyszło, wszystko z nieboszczyka dziada i ojca na mnie było zawielkie: wisiało jak wór...

Majorek zaś, mając w tém swoją kalkulacyę, na wszystko głową kiwał, mówiąc, że tak się już ludzie nie noszą, i że jak ja się przystroję po staremu, w Warszawie na ulicach palcami mnie będą wytykali.

Nie było rady, więc westchnawszy do Boga, jakom to zwykł czynić przy każdój okoliczności, musiałem ojcowskie trzy garnitury dać na ręce żydowskie do przeróbki, warując sobie, aby mi skrawki co do najmniejszego kawałka wszystkie oddał, aby się nie profanowały po obcych rękach.

Szabel do tego dwie Wawrzyniec dobrał ze stosownemi rapciami, a buty safianowe bardzo dobre, po ojcu, przyszły na mnie jak ulał.

Piszę to tylko, abym księdzu kanonikowi, dobrodziejowi mojemu osobliwemu okazał, jakiegom frasunku napytał, żem przez tydzień ten chodził z głową jakby w niej kto melli.

Trzeba było wszystko konnotować, aby o niczem nie zapomnieć, tandem obmyśleć tak, aby po drodze i w mieście nie kupować raz wraz.

Zdawało się ot już, dziękuj Panu, wszystko, a tu Wawrzyniec przychodzi: zapomniał pan o tém; albo w nocy mi we śnie się nasuwa z téj aprehensyj to i owo: końca temu nie było. Dopieroż gdy przyszło próbować pakunku. Kazalem wózek węgierski pod ganek zatoczyć, a to się w nim nie mogło pomieścić!

Już ten nieszczęśliwy wybór mój w drogę powinien być przestrogą, abym nie jechał, ale słowo się dalo!

Starościna nie dosyć że mnie oprymowała osobście, jeszcze przysłała umyślnego, dowiadując się kiedy jadę i na karteluszu dopisała *notabene*: „nie gadajże przed nikim, że za starostwem jedziesz, i że się o nie starasz.“

Za to wdzięcen jój być musiałem, bo politykiem nie będąc, tajemnicy tak z tego jak z niczego w świecie nie myślałem czynić.

W tydzień tedy akurat, unikając feralnego poniedziałku, we wtorek nadedniem byłem gotów do wyjazdu. Aż ze stajni daje znać Chwedor, że bułany co miał w dyszln iść, jeść nie chce i czegoś drży. Zerwałem się do stajni; w istocie koń był chory: w drogę go nie zaprządz. Musiałem dla danego słowa, u ekonoma wziąć wilczego pod warunkiem, choć wiedziałem że i ogonem merda i tyłem bije. Ale to tylko póki się nie ujdzie.

Do wielkiego gościńca, jak jegomości dobrodziejowi wiadomo, od nas, po groblach i piaskach opętanych pięć mil. Zaraz na drugiej mili, koło jedno okazało się, że urwanta potrzebuje.

Stałem u kuźni dobre godzin dwie.

I com w Wygodzie miał popasać, trzeba było zanocować, bo i burza naciągała wielka.

Austeryą jegomość dobrodziej pewnie pamiętasz, bo ona z dawnych czasów jeszcze stoi, mieścić się jest gdzie; wprost tedy zajeżdżać kazałem. Budka jedna stała w niej saską modą, porządna i konie od niej u żłobu już najrzałem dobre, rosłe. Ludzi się dwóch koło nich kręciło. Mało na to zważając, izbę sobie kazałem dać, tłumok dla bezpie-

czeństwa do niej znieść, a sam dla powietrza, bo przed burzą w izbach duszno było, szedłem pod słupy.

Tu, patrzę, stoi ktoś zdala i mnie się też przygląda bacznie. Człek był z cudzoziemska ubrany bardzo chędogo, z pańska wyglądający, miua gęsta, twarz przyjemna. Sądzić o nim było trudno zdala, bo że teraz dla króla wszyscy się poprzebierali francuzką modą, mógł być swój, mógł i cudzoziemiec.

Z fizyognomii wnosząc, zdał mi się lub niemcem albo francuzem, w czém się nie omyliłem.

Chociaż staliśmy zdala od siebie, pierwszy mnie salutował i począł się przybliżać zwolna; czemu nie bardzom był rad z racyi języka, innego krom swojego i łacińskiego nie znając.

Im się zbliżał bardziej, tém mi się przyjemniejszym wydawał; jakoż po dziś dzień nie mogę powiedzieć inaczej, tylko że był ekstra-miłym a za serce chwytającym jak rzadko.

Dzikości a nieufności w charakterze mym nie mając, nie cofałem się widząc, że rozmowę chce zawiązać.

Rzekł tedy najprzód niezłą polszczyzną, tylko z cudzoziemska zarywając wymowę, że wieczór był duszny i burzy się spodziewać należało.

Potwierdziłem tę obserwacyą, rad że mu nasz język nie obcy. Wnet się zawiązała między nami rozmowa z łatwością wielką, bom nie znał człowieka jako ten, coby się prędciej uniał przyswoić.

Nie bawiąc zaprezentował mi się jako kawaler La Porte, porucznik niegdy pułku książąt Masalskich, oddawna w Polsce już bawiący i na wielkich dworach znajomy.

Przyznał się, iż zdyzgustowany od Radziwiłłów i Sanguszków, u których rezydował, do Warszawy ciągnął, mając tam pewne widoki.

Jan też nazwisko swoje mu wyjawil, nie tając, że do stolicy w prywatnych dążę interesach.

Rozmówny bardzo i przylegający jak rzadko, przystał do mnie, w rozmowie sypiąc książęty a panami, z którymi, jak powiadał, w wielkićj był zażyłości. Zdalo mi się tedy, że taką mając konfidencyą z magnatami i mnieby mógł być pomocą. Dlatego był ze szczególną dlań atencyą. A że dla mnie na wieczrę coś z domowych zapasów przygotowano, choć z nieśmialością wielką odważyłem się go inwitować na mój chleb podrózny.

Przyjął to bardzo wdzięcznie, wyznając otwarcie, iż zapasów z sobą nie wiozł żadnych, a gdyby nie ja, musiałby się żydowską rybą i kwaśném

piwem sustentować: to mi wielką uczyniło przyjemność. Wieczera była prosta, ale choć francuz do pańskich pulpetów był nawykły, wcale nią nie pogardził. Raz i drugi napiliśmy się wódki starój, którą miał z sobą, a i ta mną wybornie smakowała.

Przy stole zaś rozmowa się na dobre wszczęła, którą chętnie przedłużał, uprosiwszy sobie wódki do cieplej wody i tak ją popijając. Przyczem ja odmienny gust oświadczyłem, wyznając, że wódkę osobno, a wodę osobno lubię, ale mieszanych nie znoszę.

Anim się postrzegł, jak mi ciągle bzdurząc do późna zabawiał, miał bowiem dykteryjek o różnych panach naszych mnogość taką, że gdyby kury pierwsze nie zapiały, do białego dnia by mną ich starczyło.

Ja mu słuchał i śmiał się, moc Bożą admirując w tym człowieku, jakiegom dotąd nie widział. Słowo mu płynęło tak, że się ani zająknął, a toby fraszka było, gdyby ładajakie; lecz n niego doborowe jak zboże z pod młynka wyskakiwało, że ciągle się tylko za boki trzeba było trzymać a w ręce klaskać: to m też obserwował, że o kobietach dużo albo i nadto mówił a nieszczególnie, choć twierdził, że mało n której nie bywał w ła-

skach. W tém go zaś reflektować nie moja rzecz była.

Tak z tym Laportem przebaraszkowawszy do pierwszych kurów, szliśmy na siano spać.

Nazajutrz zaś, ponieważ droga w jedną wiodła stronę, cośmy mieli każdy z osobna do bryczki leżeć i drzemać wlokąc się po piaskach, usadowiliśmy się razem na bryczce Laporta, dalej zdążając ku Warszawie.

Jemu się i tego dnia gęba nie zamykała. Dojechalśmy do popasu w najlepszej komitywie, tak żem sobie z niego przyjaciela obiecywał, którego mi sam Bóg zesłał ku pomocy.

Z mowy jego wnosząc, wielkiego sukursu mogłem się spodziewać, powiadał bowiem, że dlań drzwi były wszystkie otworem, że znał wszystkich, kochali go moiżni, a ucho miał laskawe i na pokojach królewskich.

Tém więcjem go menażował i lepiej karmił.

Już tego dnia próbował ze mnie wyciągnąć niektóre okoliczności dotyczące się fortunki mój, stosunków, mianowicie z czém jechałem, jakie miałem środki w stolicy, i byłbym mu narazie wyśpiewał wszystko, gdyby nie instrukeya pani starościńej; wstrzymałem się tedy, ażbym kawalera lepiej poznał, nie dia snspicyi żadnej, bom téj nie miał,

ale przez posłuszeństwo dla pani Motuńskiej ciotki i dobrodziejki.

Zdążyliśmy na nocleg, wedle planu mojego, do wioski na trakcie, której nazwiska nie pomnę dziś, ale ją miał zauotowaną, że austeryą dobrą w nią znaleźć można i pożywić się w potrzebie.

Jaby sam jadąc cndzego nie łaknął, bom z do mu ruszył uprowadowany na jedną osobę, ale francuza karcić począwszy, już mi nie wypadało się go pozbywać, zwłaszcza że coraz mi się potrzebniejszym wydawał.

Na nocleg zajężdżając, patrzę ja, że sieni były otwarte naprzestrzał, stoi w pośrodku powóz pański, tylko co wyprzężony, a ludzie się około niego zwijają. Francuz już zdaleka czegoś wypatrujący, gdy to zobaczył, prędko bardzo z bryczki skoczył i pobiegł tak, że mnie to wprawilo w zdumienie.

Kiedy spojrzę, podjeżdżając aż przed austeryą, stoi osoba urodziwa, lat średnich, twarzy pięknej i wielce ujmującej, kobieta; o ilem miarkował, lat może trzydziestu, oczu czarnych, dziwnie ekspresyjnych, a francuz do niej przypadłszy, w rękę ją całuje i coś już papple poufnie a prędko. Wtém oboje jak stali, pobrawszy się, zaraz weszli do austeryi i znikli mi z oczów.

Jaś się tedy instalował w izdebce jednćj, jaka była, jak się okazało obok tćj pani, z którą już mój Laporte prowadził rozmowę, jakby kto suknie trzepał. Nicem ja z nićj zrozumieć nie mógł, oprócz że z sobą w wielkićj byli konfidencyi.

Francuza ani było slychać, tak ugrzązł u owćj pani, a jaś się rozgaszczał o wieczery myśląc, którćj mi się polowa zaoszczędzić miała, bom suponował że Laporte do jejności zaproszony zostanie.

W tćm się nie omyliłem, lecz nadspodziewanie wszelkie się stało, iż gdyin ja do bigosu mójego miał siadać, francuz wszedł napastliwie prosząc i zaklinając mnie, abym do pani strażnikowćj, która mnie chce poznać, szedł na podróżną przekąskę.

Napróżno go reflektowałem żem był po podróżnemu odziany, w bntach kozłowych, w kitlu lekkim, a tak się nie godziło prezentować damie, którą z nazwiska znałem. Wiedziałem że wdową była od lat kilku, a chwaloło ją powszechnie z wesołego humoru i pańskićj fantazyi.

Nie pomogło to i prawie gwałtem pociągnął mnie do izby, gdzie pani strażnikowa jnż na nas u stole zastawionego czekała. Nigdyin się tak przyjętym być nie spodziewał, co mnie prawie

skonfundowało, nie tylko bowiem wyszedłszy przeciw mnie, rękę podawała do pocałowania, lecz wspomniawszy familią i ciotkę starościnę, w sposób tak przyjacielski animować się mnie starała, iż mnie to wprost za serce chwyciło.

Nie będę księdzu kanonikowi tał, iż zdawna dam nie widując, a do obcowania z plectą białą nie będąc nawykły, zostałem, mogę powiedzieć, oczarowany przez strażnikowę.

A jakim nie miał nim być, kiedy tak wdzięcznej postaci, jakim żyw nie spotkałem, ani żeby mi się tak uprzejmie uśmiechała, a tak patrzała na mnie. Wprawdzie równie albo i miłej jeszcze wdzięczyła się do francuza, lecz co na moją schedę przypadło, starczyło, by upoić.

Siedliśmy tedy do stołu, do którego jejność parę butelek wina z powozu przynieść kazała, a francuz podczaszował przy niem, i sam susząc kieliszki i mnie zmuszając do tego.

Nie mogę dziś dobrze opowiedzieć jak nam ten wieczór przeszedł, gdyż zmęczony drogą, na czeze serce kilka kieliszków wychyliwszy, czułem że mi w głowie zaszumiało i sam siebie nie poznawałem. Wiem że jakimś animuszem nabrał haniebnego, że po rękach całowałem panią strażnikową, zdrowie jej pił klęczący i cale dokazywał zuchwale.

Francuz téż, jakby kto go na sto koni wsadził, wesół był, a z wdową zdawał się *intime*.

Wieczera się przedłużała niezmiernie, gdy nagle posłyszeliśmy dobijanie się do wrót austeryi. Mnie to poprostu mówiąc: ani śmierdziało, ni pachniało, ale francuz zbladł, porwał się, wdowa w ręce plasnęła, i gdy ja ze stołka anim się myślał ruszać, bo mi tam dobrze było, Laporte spojrzawszy na strażnikowę, rzucił się do drzwi i wybiegł.

Chciałem i ja za nim, gdy jójmość pobladłszy, za rękę mnie chwyciła wołając:

— Jeśli Boga w sercu masz, broń mnie!

Śmiech mnie brał.

— Uspokójże się asińdźka—rzekłem—boć tu nie nie grozi. A że się kto po nocy do wrót dobija, ani nowina ani strach!

Wtém wolać poczęła:

— To oni! to oni!—i nuż po izbie latać, przypadając do mnie:—Broń mnie, zlituj się!

Mnie się dopiero oczy otworzyły, iż w tém coś być musi, a że szabli przy sobie nie miałem, co było winą moją, chciałem skoczyć po nią: nie puściła mnie wdowa.

Tymczasem tumult się jakiś zrobił. Słyszę, bramę złamano: padła z łoskotem na ziemię; ży-

dzi wrzeszczą jakby ich darł ze skóry, i w téjże minucie dwu ichmościów z szablami wpada, wołając:

— Gdzie on? gdzie ten szelma francuz!

Choć z gołemi rękami, ale widząc, że niewiasty od napaści bronić potrzeba, chwyciłem stółek za nogę i zamachnąwszy nim, jak palnąłem, takem jednego z napastników w łeb trafiwszy, na ziemię obalił, a drugi mnie szablą dojechał po głowie, że mi się dziurgiem połała krew i oczy nią zaszczyły... Już oślepy czuję tylko, jak mnie razy ze dwa cięto i padłem na ziemię...

Kiedym się obudził, znalazłem się postronkami skrępowany w téj saméj izbie, tuż z głową obwiązaną szlachcie siedział poczęstowany przezemnie, a obok drugi, wrzeszcząc oba i klóćąc się ze strażnikową.

Że niezupełnie do zmysłów przyszedłem, nie zrozumiałem o co chodziło, aż nierychło.

Ichmość panowie Szelażkowie, bracia byli rozeni strażnikowej, którzy pono dowiedziawszy się, iż za francuza wydać się myślała, a niesądząc go równéj kondycyi. ba i o chłopstwo posądzając, w pogoń poszli za uchodzącemi. Mnie zaś jako koadyutorowi Laporta, dostało się za niego cierpieć.

Francuza szukając po całej ansteryi, po lochach i po strychach, nigdzie go nie znalazłszy, w końcu Szelażkowie nałajawszy siostrze, która się im okoniem stawiała, nie mogąc ani zemsty wyrzucić, ani jej zabrać, bo się im nie dawała, drugiego dnia, rano, nie mówiąc jak i gdzie wyjechali.

Domysleć się było łatwo, że pewno na drodze nie omieszkają czatować.

Co do mnie, obrót fortuny nastąpił osobliwy, gdy się wyjaśniło, że istnym przypadkiem się tu znalazłem. Pan Teodor i Erazm, nie tylko że mnie rozwiązali, przeproszać zaczęli, ranę opatrzyli, ale choć chory, musiałem z nimi na zgodę pić, co mi na ranę nie pomogło.

I co miałem do Warszawy śpieszyć po odjeździe ich, za cyrulikiem posławszy, w karczinie obległem! Pocięgę tylko tę miałem, że piękna strażnikowa litując się mojemu plejzerowanin, w jej obronie otrzymanemu, sama przy mnie siedziała, głowę mi okładając.

Przyznając się jegomości dobrodziejowi do grzechu tego, że momentami chorobym sobie życzył aby mieć takiego doktora.

Bom-ci ja nigdy na takich godach nie bywał, aby atlasowe rączki czoło mi dotykały, a czarne oczy taką słodczą poły: *Mea culpa!*

Strażnikowa po odjeździe braci, zrazu się francuza i spodziewała z powrotem i bała się tego, bo suponowała zasadzkę; ano Laporta ani słyhu, ani widu nie było.

Ani ludzie co z nim jechali, ani moi, ani żydzi nie wiedzieli gdzie i jak zniknął. Zdawało się, że po drabince drapnąwszy na wyżki i wciągnąwszy ją za sobą, później strzechy kawał wydarł i spuścił się na ziemię, uchodząc do lasu.

W lesie zaś jaki go los mógł spotkać, zgadnąć było trudno; dość że i trzeciego dnia go nie doczekaliśmy.

Strażnikowa w początkach desperowała za nim, lecz refleksya jej przyszła jakoś i potem zamilkła, okazując więcej już nademną komnizeracyi.

Cyrulik który mnie opatrywał, trzeciego dnia choć poobwiązywanemu pozwolił jechać.

Rozmyślałem co począć dla tego niespodziewanego ewentu, bo rozzni dyktował do domu wracać aby się z ran wylizać; ale strażnikowa zaklinała na wszystko, abym za nią do Warszawy jechał, bo się braci w drodze obawiała, którzy przedemną wstyd i respekt mieć muszą.

Więc pierwszy raz w życiu tego doznałem, co to jest za słabość nasza a moc białogłowska, bom

przeciw rozumowi poszedł, sam nie wiedząc jak mnie wzięła i czem skorwinkowała.

Nawet nie gadała wiele, tylko wlepiwszy oczy, świdrowała mi na wylot duszę, albo za rękę wzięwszy gdy ścisnęła, to mi się tak robiło, jakby wszelki rozum był głupi, a wszelkie dla niej głupstwo obowiązkiem. Spowiadam się księdzu kanonikowi i dobrodziejowi mojemu najosobliwшему, jak ojcu rodzonemu, bo mi wstyd i żal; ano gdyby mi wówczas dla siebie w ogień skakać kazala, poszedłbym w płomienie.

Anim wiedział com czynił, ni dlaczego, bo zawsze francuz przedemną prym miał w sercu, o afekcie mowy być nie mogło, kiedy do tego młyna inny pierwój zajechał; a durzyłem się grzesznemi myślami, srom powiedzieć. Choć popatrzeć, choć posłuchać: tak człowiek przy nich rozumu pozbywa.

Stało się jak życzyła sobie.

Nazajutrz zaprzęgano dla mnie i dla jejmości, i dopiero postrzegł, że konie i bryczka francuza kędyś się podziały. Nie było ich. Ludzie moi mówili, że nocą z karczmą nie nikomu nie oznajmiwszy, wynknęli się dwadzieścia cztery godziny wprzód.

Nie zaszło w drodze nic osobliwego, tyle tylko, że mnie na trzęsącym wózku węgierskim z niepogojoneimi ranami, chwilami bóleści brały takie, że bym krzyczał w niebogłosy, gdybym się nie wstydał.

Na popasy stawiałem gdzie i strażnikowa, a co-raz dalej jadąc, obserwowałem iż dla mnie była czulszą i poufalszą. Nie rachowałem ja na to wiele, aby się nie omylić, lecz myślałem, z pozwoleniem, dobra psu i mucha...

Takeśmy ciągnąc, jak stażnikowa utrzymywała, na dzień przed Warszawą pominęli braci jój Szelażków, którzy mieli czatować w karczmie, ażali nie najdą francuza. Ja ich nie widziałem, ale i jójmość i jój ludzie zaklinali się, iż zasadzka była. Francuza ani tropu... Myślałem już, że go może wilcy w lesie zjedli, gdy pod samém miastem, prawie na gościńcu, podjechał konno do powozu wdowy. Słyszałem jak krzyknęła, potem żywa rozmowa się poczęła, i już tak konwojował nas aż do Pragi. Tu opuściwszy strażnikowę, do mnie podjechał z wielkimi oświadczeniami afektu i wdzięczności dożywotniój, bolejąc iż z przyczyny jego cierpiałem.

Miał ten człowiek taki kunszt, iż chociażem kontempt zrazu ku niemu czuł za to, iż się ucie-

czką salwował, kobietę samą zostawiając, znowu mnie za serce wziął.

Spytał tedy, — a gdzie myślisz mieszkać?

Rzekłem, że sam nie wiem, i że mi na Marywilu tanięj kwatere stręczono; na co on odpowiedział: ani myśl tam jechać, bo cię odra i okradną; porządny człek w porządném miejscu stać powinien. Rekomenduję Orla białego.

Żem się i o konie i o siebie obawiał, sługi z sobą mając wiejskich prostaczków, musiałem go usłuchać, choć wiedziałem, że ludzi tam draż ze skóry.

Nauczył mnie kędy i jak jechać, i że żydka faktora za mostem mogę wziąć dla lepszego dyrygowania się, zapowiadając mu pod nratą tryngeltu, aby gdzieindziej jak pod Orla białego nie zawiódł.

W tym terminie opisu mojego stanąwszy, czuję że słabemu pióru mojemu zabraknie kolorów i ekspresyi, aby księdzu kanonikowi odmalować, jakie na mnie wrażenie uczyniła stolica, której nie widziałem nigdy od dziecka.

Już Lublin mi się wielkiém a wrzawliwém nieściskiem wydawał, coż dopiero ta stolica i o tym czasie, gdy sejm do niej ludzi gromadził zewsząd;

a choć pod czas limitowany był między jedną a drugą sesją, gotowano się do niej jak do boju.

Z mostu zaraz zjechawszy popadłem w gwar, w gąszcz, w takie osobliwe widowisko, że i ja i ludzie moi głowy potraciliśmy... Karety, laurfrowie, wojskowi, znakomici, przekupki, żebracy, żydostwo, konni i piesi, razem zbici w jedną ruchomą masę, objęli mnie jak fala na jeziorze. Żegnałem się, myśląc iż ot mnie strątną, rozjadą, zagniotą; ani wiem jakieśmy przebrnęli, choć nie bez szwanku, bo mi o orezyk zaczepiono i urwano go; jakiś zbytnik po plecach mnie batem skropił, z tyłu mi wiązkę siana nczepioną, co jój konie nie dojadły na popasie, zaraz ukradli. Z tém wszystkim Panu Bogu dziękowałem, iż się na małym skrupilo.

Oczami to wszystko zjeść co się prezentowało, już było trudno, cóż gdy się doda co przez uszy wlatywało. Dzwony sobie, muzyki różne sobie, psy wyją, konie rżą, ludzie krzyczą, wozy skrzypią, tentent, wrzawa, wywoływania. Myślałem że oszaleję, i uszy pozatykałem.

Zrazu mi się miasto nie tak wspaniale prezentowało, dopiero gdy w środek wjechał, a mury te ogromne ujrzał podnoszące się do góry, okna nad oknami i wieże, struktury dziwne, facjaty oso-

bliwe, kolumny jako żołnierze stojące, admiirować musiałem pracę ludzką, która małą dłonią takie góry wznosi.

Uczułem dopiero się tu znalazłszy, jak małym robakiem byłem i jak szalonym, że w to morze wpadł, pływać po niem myśląc, bez żaglu ni wiosła. Bożej się oddawałem opiece.

Dobiłem się jakoś z pomocą żydka do tego Orła, ale tu, gdy popatrzyli na mój wózek, na konie i ludzi, nie bardzo nawet przyjmować chcieli. Ledwie nieledwie z pomocą żydka, którego z sobą wiozł, namówić się dali, że mi na drugim piętrze izdebkę od tyłu wyznaczyl, a gdym o cenę spytał, włosy mi omal dębem nie stanęły na głowie. Całą pociechę w tém miałem, że podług mój ówczesnej imaginacyi, nad kilka dni nie powinienem być w Warszawie bawić.

Gdy się teraz reflektuję, widzę że i moja związana głowa, z którą tu przybyłem, mogła od przyjęcia do gospody odstęczać, bo mnie z niej zawarchoła może wzięto. Dla téj tedy głowy, którą trzeba było leczyć, okładać plastrami i smarować, nie sposób było ani listów, ani siebie prezentować. Nie zważałbym był cale na to, że miałem na plecach rany, bo te choćby i bolały, mogłem je

zakryć, a z głowy mi cyrulik włosy wystrzygł tak, żem wyglądał jak nieboże stworzenie.

Tego dnia nie czas już było myśleć o niczem, bom od strzęsienia na wózku czuł się tak nie-dobrze, że ledwie krupniku zjadłszy z bułką, musiałem zaraz leżąc odpoczywać.

W nocy gorączki dostawszy, majaczyłem i zrywałem się tak, że wyrostek Jarmużka, co spał przy mnie, ciągle do łóżka przybiegał wielce frasobliwy. Dopiero nadedniem jakoś to ustało i zasnąłem twardo, a nie zbudziłem się, aż gdy francuz do drzwi dobijać się zaczął.

Choć teraz mniej do niego miałem nabożeństwa, wszakże przyjąłem go rad bardzo, bo mi mógł w tém mieścisku straszném być pomocnym, znając je zdawna. On téż mi ciągle wielką okazywał przyjaźń i pieczołowitość o mnie, a, co mnie polechtało téż, powiedział zaraz, iż strażnikowa ka-zała mu o zdrowie moje się poinformować i oświadczyć ukłony.

Pierwsza tedy rzecz, prosić go zacząłem, ażeby mi felczera albo doktora nastęrczył, któryby mi co najrychlej głowę mógł zakatać, abym tu czasu próżno nie marnował i kieszeni nie wycieńczał.

Laporte ze swéj strony rzekł, iż nawet do obowiązku się czuje, służenia mi, gdym dla miło-

ści jego ran tych dostał i rekomendował francuza téż, kompatryotę swojego; zdawna w Warszawie osiadłego, który szczególniej na rany, bo do tych specyalnie zażywany, osobliwe miał balsamy i plasty, jakich żaden doktor w świecie nie posiadał. Napomknął o tém, że wprawdzie leki te z ingyredyencyj takich złożone, które z Oryentu wielkim kosztem i niebezpieczeństwem sprowadzać było potrzeba, kosztowne być musiały, alem na to zważać nie mógł, bo mi czas jeszcze był droższym.

Stało tedy na tém, iż owego zachwalonego doktora Rużo (Rougeot) miał zaraz mi przysłać, za com go mało w ręce nie całował.

Nim zaś odszedł, poczał mi serce swe wylewać, iż wszystko dla pani strażnikowej poświęcił, życie nawet narażając, bo mu była rękę swą przyrzekła, a teraz widzi ją przez braci zaalarmowaną, walającą się i odkładającą.

Przezem na niestałość serc kobiecych narzekać zaczął, ażem mu ulitować się musiał.

W godzinę może po odejściu jego stawiał się niemłody człowiek, w okularach, z laską ogromną, po niemiecku ubrany, dziwnie wyglądający, mówiący jeszcze osobliwiej łamanym językiem, który zaraz się wziął do głowy mojej. Leżał na niej plaster cyrulika od dwóch dni nieruszany, który

z wielkim bólem zdjął Różo: okazała się rana wielce szpetna i zaogniona.

Pierwsza rzecz chciał mi dać głowę ogolić, od czego ledwie mi się wymodlił, że na nowém stryżeniu i myciu skończyło się. Kłął ciągle nienctwo tych co mi ranę opatrywali, a gdy mi go zaklął na Boga w Trójcy Przenajświętszej jedyne go, aby mi otwarcie powiedział kiedy zdrów mogę być, aby rozpocząć chodzenie okolo interesu, zapowiedział mi, że na to i dui dziesięciu mało.

W rozpacz byłem wprawiony tą rezolucją i tylko wpojonęj mi przez nieboszkę matkę moją religii winienem, że mi się, westchnąwszy do Boga nieco uspokoił.

Splakałem się jak dziecko, widząc że i czas i pieniądze marnie stracę i w niełaskę u starości-nej popadnę. Zatem choć z głową bolącą, bo mi ją czemś jak ogniem palącym zalal ten Rużo, siadłem zaraz aby ciotce dobrodziejce donieść w jakie popadłem łabety. Jakem ten list pisał, Bóg jeden wie, bo i spieszyć z nim musiałem i lży mi podczas pisania oczy zasłaniały i w głowie jakby młoty kowalskie tńkły.

Dopiero skończywszy go, uczulem ulgę jakąś, a nierychło z południa głodu trochę.

Opatrując listy, które od starościnéj jako wiatyk otrzymałem, do Młodziejowskiego i generała Mokronoskiego, dopierom sobie przypomniał, iż względ niejaki mając na moją ineksperyencyą, dała mi téż kartkę do Szarakowskiego mecenasa, który jéj w interesach służył i radził. Tego i ja cokolwieczek znałem, bo raz czy dwa u nieboszki matki był ze starościną i pamiętałem go, że mi swą piękną prezenicyą i twarzą imponował.

Do tego sam dojść nie mogąc, a czując potrzebę poradzenia się, napisałem téż list przesyłając a oznajmując, że chory leżę.

Nim się to stało, nim wyprawilem, nim odebrał, nim mógł się do mnie pofatygować, mało nie dwa dni upłynęło na smutnych rekolekcyach, na opatrywaniu rany i rozmowie z Jarmużką. Francuz téż Laporte zaglądał, którego na sucho nie mogąc przyjmować, choć mnie wino było wzbronione, musiałem kazać przynosić po butelce.

Prawda to jest, że w tym kraju zkąd on był wino się rodzi, i że oni do niego z maleńkości przywykli; ale tak pijącego jak wodę mocne wino różne, nie widziałem czleka równego Laportowi. Było mu stawić, i co chcąc i ile chcąc, prosić się nawet nie dawał, a nigdy po sobie kropli nie zostawił. I nie odchodził nigdy napiły, ani

podchmielony, zawsze zdawał się jeden mieć humor i dyspozycją.

Ja, że mi o głowę chodziło, a z nią o kieszeń, tak dobrze jak nie nie palem, oprócz podpiwku.

Rużo regularnie codzień raz albo i dwa przychodził, choć mi się zdawało, że nie było po co, bo rana się goiła i świerzb czulem, co było dobrym znakiem.

Trzeciego dnia, przyjaciel francuz przyznał mi się, że pieniądze, które miał odebrać od księcia Sanguszkii, jeszcze nie były do kassy asygnowane, prosząc abym mu piętnastu dukatami wygodził.

Odmówić nie mogłem, a że nosilem zawsze na sobie dla bezpieczeństwa trzos, musiałem, Jarmużce drzwi kazawszy zamknąć, odpasać go i przy francuzie dobyć żądanych piętnaście. Poprzysiągł mi, iż najdalej tygodnia z wdzięcznością mi je powróci.

Kiedy nazajutrz potém siedzę mało co ubrany, trapiąc się myślami smutnemi, a pocieszając modlitwą: wpada Jarmużka jakby przestraszony, oznajmując mi, iż pani jakaś młoda, piękna a strojna, domaga się widzieć ze mną. Sądziłem z razu że strażnikowa, którą na myśli zawsze miałem, żądała mnie odwiedzić dla konsolowania, ale się chłopiec zaklął, iż kto inny cale był.

Musiałem co żywiej się trochę ogarnąć, i ciekaw bardzo posłałem Jarmużkę, przepraszając iż mnie znajdzie chorego, a nie tak jak przystało na przyjęcie nbranego.

Wprętcie potem usłyszałem szelest sukni jedwabnej, drzwi się otworzyły i ujrzałem kobietę, jakiej w życiu mem nie widziałem, a sądząc, że drugiej podobnej i oglądać nie będę.

Tu muszę księdza kanonika dobrodzieja ręce i nogi całując, o przebaczenie prosić, iż mi całą prawdę napiszę, jakom był grzeszny i słaby a ułomny. Żałuję tego, prawda, ano gdybym raz wtóry popadł w tentacyę taką, nie mogę za się ręczyć, bym *deinceps* nie szwankował.

Osoba wchodząca wydała mi się nie mającą nad lat dwadzieścia; takiej figury w pasie szczupłej, którą zdaje się ręką jedną objąłby człowiek, nie widziałem tylko u osy. Ogromne oczy czarne, usta różowe, pleć jak śnieg. Weszła fertycznie podrygując, śmiejąc się, główką pokręcając, jakby się drożyć chciała ze mną. Stała zaraz za progiem i poczęła:

— Pan mnie nie znasz? No—a ja pana Macieja znam, i pańską matkę znalazłam i starośćinę Motuńską, i w Jasieńcu bywałam. A co?? a co? Jam zgłupiał.

— Widzisz pan!—dodała śmiejąc się ciągle—mam pocziwłą pamięć i dobre serce, dlatego dowiedziawszy się, żeś pan w drodze niewinnie popadł w biedę, i sam tu chorujesz a desperujesz, przyszedłam mu dygnąć i dowiedzieć się.

— Ale niechże ja wiem z kim mam honor?—odezwalem się.

— E! co tam! honor! jaki tam honor!—poczęła śmiejąc się.—Ja jestem ta Jóźka Wawrkowa com była u starościny, pamiętasz pan?

Pamiętałem ci ja tę Jóźkę, ale w kartonowym kabaciku z kosami długimi na plecach, a tu fryzura i jedwabie.

— Teraz mnie tu zowią panną Wawrykowską, a więcéj Józią—rzekła.

— Zkądże panna o mnie mogłaś się dowiedzieć?—zapytałem zdziwiony.

— Ot! zkąd!—odparła siadając bez ceremonii na krzeselku.—Mam dużo znajomych i przyjaciół, a awantura pańska z ust do ust chodzi po Warszawie: nie trudno było o nią posłyszeć.

Mówiąc, patrzała na mnie, a jam się dziwował co się z téj Jóźki zrobiło. Wyglądała na pannę, a co na sobie miała teraz, tegoby u starościny za lat trzy nie wysłużyła. A pachniało od niej tak, że po całćj izdebce się to rozchodziło.

Zupełniem zgłupiał; patrząc na nią, chciało się w ręce całować i szanować, gdyby człowiek nie wiedział, że Wawrkówna, a nawet wiedząc kto była, śmiało do niej przystąpić nie miałem odwagi.

Mówić mi prawie nie dawała, oczyma od stóp do głów mierzyła, przypatrywała się, aż mnie konfundowała.

— Słyszałam—mówiła—żeś pan po drodze spotkał jakąś strażnikową; ja ją mało pamiętam, no i francuza, za którego się panu dostało. Ależ ta rana przecie nie jest niebezpieczna?

— Doktor Rużo mówi mi, że niéma wielkiego nic...

— E! doktor Rużo stary niedołęga—rzekła z pogardą.

Nie wiedząc ani co mówić, ani czém ją zająć, spytałem coby robiła w Warszawie i jak się jój działo.

Trochę się zarumieniwszy, odpowiedziała po krótkim namyśle:

— A cóż, bawię się, wesoło mi czas schodzi: miałam tu krewnych—nie dokończyła jakoś, ciągle mi się przyglądając.

— Pańska matka—dodała—świeć jój Panie nad duszą, bardzo mnie lubiła i dobrą dla mnie była, nie tak jak starościna, która gderala i popy-

chala aż mnie z domu precz wypchnęła. Prawda, że mi to na dobre wyszło, ale, kto wie, wołałabym była może zostać na wsi i być Józką Wawrkówną. Otóż... otóż ja za dobre słowo nieboszki, chciałabym się panu wywdzięczyć. Pan jesteś tu nieznajomy, a tu oszustów zgraja: pan sobie nie dasz rady.

Chwilę pomilczawszy, dodała:

— Przyznaj się pan — panie Macieju — francuzowi już pożyczyleś pewnie pieniędzy; jak tak dalej pójdzie, grosza ci przy duszy nie zostawią. A i z doktorem Rnżo ostrożnym trzeba być, bo ze skóry obedrze...

Zacząłem jęć tedy tłómaczyć, że francuz choć chwilowo potrzebował, co odgadła, za kilka dni sumbmitował się najuroczyściej dług powrócić. a Rnżo człek był wiekowy i bardzo poważny.

Śmiechem mi przerwała, bo u niej śmiech z ust nie schodził, choć czasem w oczach smutek jakiś miała.

— Co pan im wierzysz — rzekła — francuz hołysz, a stary doktor komedyant: nikomu tu wierzyć nie można.

I wręcz dorzuciła ze śmiechem:

— Nawet mnie nie bardzo!

Czasu téj konwersacyi, która się dłużej w ten sam sposób przeciągnęła, owój Józce przyglądałem się, do czego przyznaje się, nie mogąc jeszcze pojąć ani zrozumieć, jak się ona z téj dziewczynki prostéj, na taką damę mogła przedzierzgnąć.

W sąsiedztwie widywałem dwie sędzianki, panny bogate, z których każda po wsi dostatniej miała otrzymać w posagu, a żadna do téj się ani umywała.

Wzięła mnie jak najpoufalej na spytki, zaklinając abym jój mówił prawdę, iż mnie nie zdradzi, a chcąc wiedzieć po co do Warszawy przybyłem, do kogo trafiać nmyśliłem, z kim się widzieć i t. p.

Opierałem się zrazu, ale jakom już jegomości dobrodziejowi memu najlaskawszemu całą ułomność moją odkrył, tak osłaniać się nie będę, iż niewieściemu urokowi opierać się nie umiem: o ile na samo wspomnienie małżeństwa strach mnie ogarnia, tak znowu kobiecie się oprzeć nad moje sily. I dlatego zapewne Opatrzność mi dała strach ten od ożenienia, bo niewolnikiembym musiał być. Więc i teraz powoli ze mnie dobyła wszystko, dawszy mi słowo święte, że nikomu o tém mówić nie będzie. Powiedziałem jój wszystko, nie tając nic. Zadumała się i rzekła w końcu:

— A ja jedno panu Maciejowi radzę, nikomu nie wierzyć! nikomu! Zresztą ja się dowiem, a jakbym na co przydać się mogła...

Już na odchodném w wielką wpadłem perpleksyę, nie wiedząc sam jak ją pożegnać. W rękę byłbym dla smaku pocałował, ano mi się zdało to nie w miejscu, boć była w garderobie u ciotki Motuńskiej. Znowu zbyć ją, gdy się tak okazywała dla mnie przez pamięć matki mój życzliwą, zbyć niczem albo uklonem zdawa, przykro mi było. Gdy wstała aby odejść, chwyciłem ją *inscius* za rękę przez wdzięczność, ale mi ją wyrwała zarumieniwszy się mocno.

Rozśiniała się serdecznie, i tu już nie wiem, jak mam się przyznać księdzu kanonikowi, rzuciła mi się na szyję, pocałowała, a nimem się opamiętał, bo mi do głowy wszystka krew macnęła, już jej nie było.

Jam stał jak czop: paliło mnie tam gdzie dotknęła.

Józka nie Józka, jeszcze mi się wydała śliczniejszą stokroć od strażników.

Wpadłem w tak grzeszne myśli, że kilka razy odpędzałem te pokusy szatańskie, nie mogąc je pokonać. Dopiero po wyjściu opamiętał, że jej o mieszkanie nie spytał; kazałem pędzić

za nią Jarmużec. Powrócił z tém, że mu się w nos rozśmiała mówiąc: powiedz że ja się dowiem sama, a mieszkania wiedzieć mu nie trzeba.

Jeszcze chodziłem zacierzewiony i nie bardzo przytomny po wyjściu tego utrapienia, pokusy, gdy nadszedł pan Szarakowski.

Choć już dawnom go nie widział, poznałem go zaraz: królewską miał postać i taki majestat jakiś, że ja przy nim, gdyby student przed księdzem pre-fektem musiałem stać.

Przywitawszy się siadł zaraz, i gdym mu chciał tłumaczyć co ze mną zaszło, głębcę mi zamknął tém, iż wie wszystko.

Milczący był i wydał mi się kwaśny.

Prosiłem go o radę, rzekł na to poważnie:

— Rada na to trudna, gdy się interes ze złego końca pocznie. Nie ujmuję acanu dobro-dziejowi, ale przy jego niedoświadczeniu i braku znajomości w świecie naszym, nie opiniuję abyś na skutek mógł liczyć. Wytrawniejsi daleko od niego, zabiegliwsi z długimi odchodzą nosami. Obie-cywać będą wszyscy, a to im nie trudno, ale otrzymać coś, to sztuka. Starostwo siedliskie mała rzecz, drugie wójtostwo więcej warto, a o ile wiem, dziesięciu do niego pretendentów i to takich

co wujów, stryjów, ciotki, babki na dworze i koło dworu mają.

Młodziejowski przedzłby je dla siebie, to jest dla ubogiego jakiego krewniaka wziął niż kogo forytował; generał ma o czem inném do myślenia, a niewiele go co w świecie obchodzi żywić.

Zimno mi się słuchając zrobiło, a że niewielką wiozłem tu nadzieję, teraz ją do reszty postradałem. Począłem więc prosić i zaklinać Szarakowskiego, aby to wszystko napisał do starościej, która może wierzyć nie zechce, i aby nakłonił ją do tego, by mi wracać do domu pozwoliła...

— Tego ja nie uczynię—rzekł—asindziej pani starościej nie znasz. Nie ustępuje ona łatwo ani po dobrej woli. Napiszę, że skutku się nie spodziewam, to jej powiem otwarcie; ale od tego, byś waćpan się starał i chodził ona nie odstąpi. Dostałbym burę, gniewałaby się i odpisała, że bądź co bądź starać się potrzeba.

Więc, gdy głowa się zablżni, a włosy trochę odrosną, trzeba rozpocząć chodzenie. Uda się nie uda, probować musisz.

Nakoniec rzekł wstając, jakby mnie chciał zaanimować i pocieszyć:

— Zresztą, dzieją się na świecie cuda, czasem *insperate*: krok jakiś w dobrą godzinę da to

czego największa nie doścignie przebiegłość. Zatem zdrowia i sukcesów życzę.

Przyrzekł mi służyć radą, a gdyby zręczność się nadarzyła i poparciem.

Tak mi zeszły pierwsze dni pobytu w tój stolicy, którą wprawdzie słyszał, bo, choć okna izdebki na tył wychodziły, od ulicy nieustannie bnrzenie i głuchy huk dochodził do mnie i piski i wrzaski, a za to nie widziałem nic.

Francuz pożyczwszy piętnaście dukatów stał się rzadszy, jednak odwiedzał mnie; Rużo przychodził regularnie. Jóźka się nie pokazała rychło.

Co do tój, boć szczerze wyznaję wszystko, tom się cieszył że jój nie było, aby nie doznawać pokus nadaremnych; tom tęsknił, że mnie tak opuściła zaoskomiwszy tylko...

Że mi się nieustannie na myśl nawijała, dla uczynienia dywersyi zbawiennój, myślałem o strażnikowój, która z razu téż wydala mi się bardzo przyjemną.

O tój francuz odzywał się z goryczą, powiadając iż go na łodzie osadziła, i tu już szlachcica sobie znalazła zawadykę, który jój obiecywał braciom dać naukę dobrą, a ona jemu miała już niby rękę swą przyrzec. Ubolewał téż, iż mu Sanguzkowie asyguacyi nie nadsyłali. Tak się teraz

jakoś składa to, iż w porze obiadowej zaczął przychodzić i zastając nakryte, jadł ze mną, co mi kosztu przysparzało, bo i apetyt miał wilczy i chlzał tak, iż go jedną butelczyną zaspokoić było trudno, a lada jaką nie ukontentować.

Że na winie się znał doskonale, tego mu nie ujmuje.

Goła się powoli głowa, a na plecach dawno poprzysychało; wyglądałem jak zbawienia, żeby już raz wynijść i pańszczyzny zbyć się, bo co do skutku, tegom ani mógł spodziewać.

Nadszedł list od ciotki starościncj, a w nim monita, i zamiast uzalenia się nademną, wyrazy ostre.

Powiadała w nim, iż się niemal cieszyła, że został plejzerowany, bo mnie to może wyprowadzi z méj ociężałości i niezdarności. O starostwo zaś starać się zalecała jak najmocniój, a, czegom się nie spodziewał, *ex re* ekstraordinaryjnych wydatków, przysłała mi kwitek do Teppera bankiera na czerwonych złotych sto, z tém, abym się ich podnosić nie ważył chyba w ostateczności.

Dotąd jednak perspektywy nie było, aby do niej przyjść mogło. Zdziwilem się szczodrobłości jój z jednój strony, z drugićj względem mnie okrucieństwa, które na przykre próby wystawiało.

Schowawszy do trzosa kwitek, z którego użytku robić nie myślałem, jużem tylko wyglądał gdy się rana zasklepi a włosy odrosną, gdy raz drugi pokusa owa, panna Wawerkowska, zjawiała się znowu.

Skonfundowany byłem jój przyjęciem gorzej niż pierwszym razem, z powodu tego całusa przy pożegnaniu, o którym ona czy zaponiała, czy sobie go tak jak ja nie ważyła, była najlepszej myśli.

Wskoczyła tak jak się czasem widuje na gościńcu skaczące ptaszki, co chodzić nie mniejąc, podrygują. A, przebacż Boże grzesznym oczom moim, zobaczyłem teraz, że miała trzewiczki na korkach i nóżki jakby ptaszące. Musiałem odwracać wzrok, tak mnie to niepokoiło.

Do ręki jój nie sięgałem, bom się bał, jak mi znowu na szyję wskoczy, krew mnie zaleje. Siadła wypytując o wszystko, rozpatrując się, o drobnostki badając, przytém żartując i śmiejąc się. Nakoniec chciała wiedzieć kiedy wyjdę? Oświadczyłem, że na przyszły tydzień, chybaby Bóg był niełaskaw...

Wśród rozmowy, co już było moją winą, ale sumiennie powiadam, że nie wiem jak się to stało, siadłem koło niej na krzesełku nadto blisko. Dopiero postrzegłszy się, że mnie suknia jój jak za-

rem piecze, gdy się tylko dotknę, czego nawet nie rozumiem jak i z jakiej przyczyny się działo, musiałem się odsunąć.

Zagadawszy się o dawnych czasach, o staroście, o tém jak często boso chodzić musiała, a nad jedną sukienkę porządniejszą nie miała; jak na grochu kłękiwała za pokutę, albo w kącie stała za swawolę i po czterdzieści ojczenasz odmawiać musiała: tak wzdychała, tak plaskała w ręce, jakby jej tych złych czasów żal było. Trudno to inaczej jak fantazją niewieścią wytłómaczyć.

Zagadaliśmy się aż do mroku, a na odchodném, choć na baczności się miałem, znowu mi na szyję skoczyła, i poczułem na twarzy okromi całusa, dwie łzy gorące. Pan Bóg mnie salwował, iż apopleksyi nie dostałem, alem się za nią rzucił do drzwi jak opętany, gdy, piorunem wyleciawszy, zniknęła.

Niechże mnie ksiądz kanonik dobrodziej nie łaje, raz, że ja unikałem wszystkiego i winy mój nie było; powtóre, że uczyniłem tegoż wieczora najmocniejsze postanowienie, pierwszego dnia jak tylko będę mógł wyjść z domu, dla otarcia się z myśli złych, pójść do spowiedzi, dać na wotywę, i dopiero rozpocząć chodzenie około sprawy.

Widziałem już za tą drugą bytnością Wawerskiej, że gdyby była szlachcianką, a nie nie sta-
wało na przeszkodzie, na małżeństwo z nią nawet-
bym się ważył, bo mi z oczów nie schodziła.

A te dwie łzy com je na twarzy poczuł, tom
się ja w nich roztopił.

Gdy się już głowa dogajala, że około niej nie
do czynienia nie było, poprosilem Rużo o rachun-
nek. Ze strachem o nim myślałem zawczasu, ale
na wspomnienie o nim, rzekł mi:

— Nie wielkie to tam rzeczy.

Tém mnie uspokoił. Myślałem sobie, że go
nadaremnie posądział.

Nazajutrz przez służącego w opieczętowanej ko-
percie przysłał mi niegodziwy człek rejestr, na któ-
rego widok struchlałem.

Gdym roztoczył go, jeden koniec miałem pod
brodą a drugi leżał na ziemi. Bitem piśmem sta-
ły rzeczy niezrozumiałe, plastry, dryakiew, olejki,
wcierania, wizyty, a na końcu Łatus czerwonych
złotych czterdzieści ośm i dwa talary.

Myślałem że mi się w oczach dwoi, gdy nad-
szedł francuz. Zastał mnie skostniałego z tym
papierowym paskiem w ręku. Począł też nos
wścibiwszy czytać, i, gdy ja jeszcze niemy stałem,
rzekł:

— Rużo się z waćpanem obszedł bardzo po ludzku i pocziwie. Drugiegoby to w dubelt tyle kosztowało. Możesz powiedzieć, że cię zadarmo wyleczył.

Nie śmiałem się odzywać, bo w tych rzeczach nie mając eksperyencyi, tyłem wiedział, że mi trzonowy ząb wyrywał. Targować się ani było sposobu. Francuz insynuował, iż należało jeszcze prezent zrobić na niezabudź!

Dla mnie już była niezabudka taka, że jój na najdłuższe życie stało.

W dodatku Laporte, co miał mi dług zapłacić, jak zaczął skomleć, pisać, i narzekać na San-guszków, a na wszystkich świętych, mnie zaś obiecywać protekeyą, wyłudził jeszcze u mnie dukatów pięć. Oprzeć się nie umiałem. Człek słodki był i gdy mówić zaczął, żywemuby wmówił, aby się do trumny położył. Ja mam serce miękkie, znam to do siebie. Rachowałem na to, że gdy mi, wedle obietnicy pomoże, iż starostwo otrzymam w kilka dni, bo on za to ręczył, że miał pewne drogi, oszczędzę więcój niż mu dalem.

I takem się konsolował.

Wieczorem jednak, gdy wedle obyczaju przychodziło do rachunku sumienia, który codziennie czynić nawykłem, męczyłem się sam srodze, wy-

rzuty sobie czyniąc, żem zabrnął haniebnie. W sercum czułem, że mnie do niewiast inklinacya ciągnęła, myśli około nich się nieustannie plątały, a i innych pokus doświadczałem, nie mogąc ich już odżegnać.

Za Jasińcem com miał tęsknić, to mi już to miejskie powietrze smakować zaczynało, a opowiadania o zabawach, redutach, teatrach, hecy, ciekawość zaostrzały.

Chciałem widzieć wszystko i wszystkiego skosztować.

Nie na moje słabe siły były pokusy świata tego zwodnego i wielce niebezpiecznego.

Czasami, prawda, wszystko rzucać chciałem i uciekać, lecz postanowienie dobre nie długo trwało.

Krewkość górę brała.

Nadszedł wreszcie dzień ów stanowczy, dnia 26-go lipca, gdy wprost z domu, wedle uczynionego *votum*, udałem się do kościoła. Tu ze skruczą się pomodliwszy, udałem się naprzód z listem do Młodziejowskiego. Spotkała mnie pierwsza deceptacya, nie było go nie tylko w domu, ale i w Warszawie. Kiedy miał powrócić, dwór jego albo nie wiedział lub mówić mi nie chciał. List starościnęj

kazano mi oddać amannensowi, który go z pierwszemi kresami miał przesłać.

Być może, iż tak bardzo się tém nie zmartwiłem, bom rozkazanie spełnił, w sumieniu był wolnym, a chodzić już nie potrzebowałem. Ledwie się mógł dowiedzieć o generale, że ten także na wsi niezbyt odległej rezydował czasu lata, z kąd niekiedy na jaki dzień przybywał do miasta i stawał w pałacu pani krakowskiej. U pani krakowskiej służba, która ledwo mówić ze mną raczyła ruszając ramionami, powiadała, iż generał nie opowiada się nigdy kiedy przybyć ma, ani jak długo zabawi.

Wychodząc z dziedzińca pani krakowskiej na placz mi się prawie zbierało: łamałem ręce nie wiedząc co począć. Czułem, że nie było co robić, a pani starościna, nie wchodząc w skład okoliczności obwini mię, żem niezdarny, nieporadny i ociężały.

Czekać? nie wiedząc kiedy biskup powróci i generał przyjedzie, mogło się ciągnąć do zimy, a tymczasem grosz, którego już sporo wypłynęło, miał iść nadaremnie i mogło się przedłużać bez końca, a miasto ze wszystkiemi pokusami swemi czyhało na mnie, aby pożreć.

Czułem się tedy zgubionym.

Nadzieja mnie opuściła wszelka i ognista rozpacz porwała,—kiedy ginąć to ginąć! rzekłem sobie.—Sprzysięgły się losy na mnie!

W takich myślach podszedłem pod Orła i poczułem, że mi się z téj złości, apprehensyi i rozlania żółci, jeść zachciało, a byłem w takiem usposobieniu desperackiem, że już na oszczędność żadnego nie miałem względu.

Wiedziałem, że na dole w sali dają jeść, i że się tam różne osoby schodzą. Co ja mam sobie żałować! rzekłem w duchu i wszedłem.

Nie wiem czyto było zawczasie czy zapóźno, dosyć, że nikogo nie znalazłem, oprócz jednego starego, suchego jak grzanka człeka, który z butelki piwa resztki popijając, siedział jakby tam na kogo czekał.

Gdy wszedł popatrzył na mnie z uwagą wielką, bo jako żywo nie widział mnie nigdy, a potem uważałem, że chłopca o coś pocichu badać zaczął.

Służba mnie już знаła wszystka, bo mi na górę jadło nosili.

Ledwie się usadowił, rozkazując sobie obiad dawać i na humor wina butelkę, gdy stary podniósł się z miejsca swojego i zaszedłszy mi z przodu, naprzód mi się przypatrywać zaczął baczenie, tabakę zażywać, potem coraz bardziej przybliżał.

Już widoczna było, że chciał mię zagadnąć, a jam i rad był, żeby się przed kim z moim żalem wynurzyć.

Znienacka uśmiechnął się ów stary.

— Pan Matensz Jasieniecki z Jasieńca!—zawołał półgłosem. Prawda?

— Do usług!—rzekłem.

Stary podszedł i siadł przy moim stoliku.

— Godną familię asindzieją znałem!—rzekł—znałem! bo ja mogę powiedzieć całą Koronę i Litwę znam jak kieszeń moję, rozumie się *primates*, familie stare nasze szlacheckie!

Jasienieckich, herbu kotwica, bo swój własny herb mają, wiem, znam. Starościna Motuńska rodzoną jest siostrą matki godnego pana mego? Wszak tak?

— Tak! tak jest—zawolałem uradowany—ale z kimże mam honor?

Stary poglaskał brodę.

— Moje nazwisko i rodzina nie będą acanu dobrodziejowi znane, chociaż swojego czasu głośno one brzmiały. Joachim Albert z Włosowa Włosowski, niegdy dóbr znacznych na Pokuciu dziedzie, dziś na dewocyi tu, na spoczynku, obrotów świata świadek i spektator... Włosowski! służka pański. Cóż szanowny pan tu porabiasz?

Ponieważ mi się z tém oświadczył, że familią moję znał, o ciotce wiedział, Jasieniec mu nie był obcy, odrazum go za przyjaciela i powiernika chciał mieć, zwłaszcza że siwy włos i wiek szanownym go czyniły.

Powiedziałem cały *casus* mój, i jakom zaczęm tu wyprawiony był, i co mnie w drodze spotkało i jakiej dziś doświadczyłem decepcyi.

Kiedy niekiedy przerywał mi z półuśmieszkiem powtarzając cicho:—Furda!

Sądziłem, że to przysłowie ma, bo jak księdzu kanonikowi wiadomo, że u nas przysłowie każdy musi mieć; jakoż i później ten wyraz z ust jego często wyrywający się słyszałem.

W téj chwili miał on to znaczenie, iż wszystkie przygody moje i co dla mnie się jako nieszczęście kwalifikowało, on miał za małe rzeczy.

Jam się zapalał opowiadając mu coraz większą desperacyę, a jemu zdawały się oczki siwe paląc coraz większém nkontentowaniem.

— Furda! —zawolał gdym dokończył—drobnostki są! nie takie rzeczy się o naszy nasze obijały *macte animo*.

Zawolał na sługę, aby podał lampeczkę drugą, co ja widząc. zaraz mu wina naląłem.

— Za zdrowie pana Matensza i pomyślność! — zawołał wypijając ją do dna. Potém się nachylił nademną:

— Uważam to za szczęśliwy ewent dla mnie, iż tu z nim los nas sprowadził i zrządził, żeśmy się zetknęli—począł żywo nalewając już lampkę drugą.—Bezemniebyś asindziej tu nie poradził nic. Trzeba znać wchody i wychody, drogi i manowcę, ścieżki i drożyny; trzeba się nmieć wśliznąć i wysliznąć, ugiąć i odprostować, minę nastroić, głos dobrać...

Słowem tu trzeba wygi, a asindziej bez gniewu i bez urazy, w tych rzeczach jesteś fryc. Jeden Włosowski może waćpana nratować, a trafiłeś właśnie *recte* na jedyne go człowieka, przez którego dojść możesz wszędzie.

I słowa mi wtrącić nie dając, ciągnął dalej, a mnie ścisnąć go i całować się chciało.

— Kto tu Włosowskiego nie zna i kogo on nie umie na wyłot? Świeccy, duchowni, dygnitarze, rada nieustająca, posłowie, ministrowie, wojskowi, ambasadorowie zagraniczni bez Włosowskiego nikt nie stąpi.

Począł się uśmiewać on, a ja z nim.

— Tylko, trzeba wiedzieć, co i jak! W ulicy spotyka kto Włosowskiego, he? myślisz, że Wło-

sowski jemu albo on się Włosowskiemu pokłoni? Ale! Toby dopiero była kompromitacya! Ja ich nie znam publicznie, nie znają mnie oni, ale kto rano pierwszy na ciepłe nóżki wkłada się gdy jeszcze czekoladkę popijają, na poduszkach się wylegają? Kogo dano rozkaz puszczać tajemnie do gabinetu?! Kto wszystkie nici trzyma w ręku niewidzialnie?! Kto, wierz nie wierz, ja Włosowski!

Uderzył się w piersi i wypił wino.

— Trafikęś na mnie, jesteś ocalony! ja ci to mówię! Nie bój się, starostwo weźmiesz jak jabłko opadłe z drzewa.

Tylko, sza! dyskrecya!

Nalałem mu wina.

— Wiesz co podezaszytu—zawolał—przetrać-
cilbym co lekkiego!

— Co rozkażecie?

— Hm! — rzekł — niechby mi dali kawał usarskiej pieczeni; przy rozmowie animowanej to się zje, ani spostrzeże. Nic tak nie budzi apetytu, jak gawędka.

Do pieczeni kazał sobie przystawić ogórków, ćwikły i kartofli, zadysponowałem drugą butelkę wina, począł wchodzić bliżej w szczegóły.

— Od jutra—rzekł—poczynam chodzić za waszym interesem. Nie potrzebujesz się już ani ru-

szuć. Siedź spokojnie w domu, używaj miasta, baw się jak wiekowi twemu przystało, ja wszystko na siebie biorę.

Z chęciąbym nawet i koszta wszystkie na siebie wziął — dodał — ale majątek cały oddałem dzieciakom, a sobie dla mortyfikacyi zostawiłem li tylko tyle aby wyżyć. Dzieci mnie zaklinały, abym parę tysięcy dukatów rocznej pensyi akceptował: wręcz odrzuciłem. Chcę wydawać się ubogim i żyć ubogo, dla prześlągania Boga za grzechy moje.

Bo — szepnął z uśmieszkiem — grzeszyło się! bulalo! ho! ho! panien, wdówek, ba i mężatek (tę się w piersi uderzył) dosyć na sumieniu mam! Pojedynków kilka śmiertelnych!! Teraz czas do pokuty! Dosyć.

Wracając do przedmiotu — począł żywo — na pierwsze koszta wstępne dasz mi dwadzieścia dukatów: to starczy, jako *exordium*.

Ja z waszym groszem jestem bardzo oszczędny!

Byłbym mu z ochotą dał tyle dwoje za to, że mnie tak pocziwie dźwigać się ofiarował!

— Co się tyczy starostwa siedliskiego — dorzucił — śpij spokojnie, jakbyś przywilej już miał w kieszeni. Nie żonaty jesteś, alebym ci je wyrobił *cum jure communicativo* dla magnifiki!

Miałem właśnie dobywać dukaty, aby go za słowo pochwycić, gdy wtém wszedł francuz mój.

Nie mogę na dziś dzień sobie wytlómaczyć, co zaszło i co było. Francuz od progu, gdy zobaczył Włosowskiego, tak się zacukał, jakby mu co na drodze przeszkadzało; mój stary Włosowski zdetonował się czegoś, zaczął kręcić, potem jeli patrzeć sobie w oczy z nateżeniem wielkiem, i nuż się witać, bardzo serdecznie. Ściskali się za ręce, ściskali, a tak sobie radzi byli, jakby się sto lat nie widzieli.

Francuz miał pragnienie, kazałem przynieść jeszcze butelkę. Gdy on popijał, wziął mnie na bok Włosowski do drugiey izby, gdzie mu zaraz dwadzieścia czerwonych złotych wyliczył, bo, jak powiadał, chwili nie było do stracenia. Przestrzegł mnie téż, abym się przed francuzem z niczem nie wynnrzał, a jak najmniej ze stosunkami naszymi, gdyż, choć człowiek był dobry, język miał długi i za zębami go trzymać nie umiał.

Żegnał się zaraz i wyszedł śpiesznie, obiecując, że codziennie raporta mi będzie przynosił, gdyż czuł dla mnie afekt niemal ojcowski, a starośćinę Motuńską wenerował i adorował...

Gdyśmy sam na sam z francuzem zostali, spytał mnie tylko z kądem do znajomości z Włosowskim

przyszedłem, a tym, przyznaje się, lgnął i powiedziałem mu, że to dawny mój familii przyjaciel i znajomy.

Więc nie pytał już.

Znowu tedy słuchać musiałem żalów wielkich na strażnikową, że z owych amatorów dawnych do tego przyszło, iż go nawet do niej nie puszczano. Zwał ją przewrotną i odgrażał się. Ale mną to lhmorn na długo nie popsulo, bo zaraz mnie namawiać zaczął, żebyśmy razem na hecę poszli, iż fraszka teatr, takie to jest widowisko piękne i zajmujące, na którym umysłu nateżać nie potrzeba, a oczyma się człek bawi.

Ręczył, że najpiękniejsze panie i najlepsze towarzystwo na hecy, widzieć zawsze było można.

A ja już tego dnia z poprzedniej desperacji, potem z wielkiej radości, iż mi się tego zbawcę Włosowskiego schwycić udało, byłem na wszystko gotowy.

Dokończywszy butelki, bo francuz sumienny człek, i lagrów nikomu nie zwykł był zostawiać, jechaliśmy na hecę, która była w budzie paskudnej, alias w szopie zbitój z tarcie, ale we środku ją niezgorzėj wymaścili.

Mało jeszcze osób siedziało po galeryach, ale się ściągać zaczynały: tuż ja dopiero poznał co to była Warszawa!

Takich ja kobiet (niech mi tę spowiedź stryj dobrodziej jako skruszonemu grzesznikowi przebaczy), takich ja kobiet nie widziałem, anim o nich myślał.

Nie-wiem czy dobrze powiem, ale po naszych wiejskich, tutejsze mi się wydały jak sapieżanki po ulęgalkach. Nie wiedziałem na którą patrzeć, tak wszystkie były piękne, a francuz mi je nazywał, bo je znał, i co słowo: wojewodzina, kasztelanowa, księżna, grafini. Potém raptém weszła jedna, słowo w słowo tak ubrana jak wojewodzina, i taka uróżowana i z brylantami, jak rodzona siostra; pytam, odpowiada, to Rózia; druga, mówi to Melka; trzecia, to Lianna... Nazwisk nie umiał mi powiedzieć, a gdym dopytywał co za jedne, począł się śmiać i pryhać. Nie wiedziałem co myśleć. Koło nich ci sami się mężczyźni gromadzili co i koło wielkich pań.

Wtém gdy my tak rozpatrujemy się, patrząc, małym nie padł.

Wchodzi Jóźka ta Wawerkowska wystrojona i siada, a za nią roi się młodzież. Mnie krew uderzyła do głowy, zrobiło mi się na raz zimno

i gorąco, a że pytałem o nią francuza, gdy ten łokciem mnie potrącił i szepnął:

— Faworyta księcia ex-podkomorzego, fraszka Truskolaska.

— Kto?—spytałem drżący.

— A ta!—i wskazał na Józkę.

W głowie mi się nie mieściło.

Józka wodząc oczyma po sali, zobaczyła mnie i szybko się odwróciła, tak jakbyśmy się nie znali.

Od tego momentu, gdy ta nieszczęсна Wawerkowska weszła, już mogę powiedzieć, że mnie nie widział, ani niedźwiedzi, ani psów, ani hecy, ani tych piękności, tylko ją.

Czasami z ukosa zerknęła na mnie, za każdą razą czułem jakby mi kto czego gorącego nalał do szpiku kości.

Francuz paplał i opowiadał historye niestworzone. Heca się ciągnęła długo, ale wśród niej Wawerkowska nagle znikła, a ja dopiero znowu rozpatrywać się chciałem, gdy francuz, że gorąco było straszne i mnie wyciągnął, abyśmy szli się czém ochłodzić, a najlepiej winem.

Dałem mu z sobą robić co chciał, i tak zaprowadził mnie do jakiegoś winiarni francuzkiej, gdzie kazał wina dać które zachwalał, asekurując że ja takiego jeszcze w życiu nie pił. Łatwo mi by-

lo wierzyć, bom ja dotąd okrom zwykłego węgierskiego innego prawie nie znał. Tu mnie dopiero burgundzkiego nauczono; a tego dnia francuz dał mi pokosztować co nazywał: wino dam, panów!

Gdy dobyli butelki, żeby chłopiec nie miał doświadczenia i zręczności, byłoby to pańskie wino całe na podłogę poszło, bo jechało sznurwinami do góry aż strach... Francuz z rozkoszą poniósł kieliszek do ust, ja z obawą. Smakowało nie mogę powiedzieć, słodko, kwaskowato, szczypiąco, ani źle ani dobrze... tyle tylko, że kipiało zabawnie... Nie podobałem go sobie.

Laporte wszędzie miał znajomych co niemiara, wciągnął mnie do drugiej izby, a tu widok zupełnie inny się przedstawiał. Stół był pośrodku suknem nakryty; osób do koła cisnęło się mnóstwo, ogromna kupa złota leżała w pośrodku: domyśliłem się, że w karty grali.

Takiż zaś gry jakom żyw nie widziałem, nie znając innej prócz maryasza i družbarta. Było na co patrzeć, bo i przegrywali niektórzy całe kieszki i zagarniali całe kupy.

Francuz mnie łokciem począł trącać i szeptać:

— Nowicyusz jesteś, tacy mają szczęście. Wielka ci rzecz postawić dukata, dwa?

Nie miałem odwagi, a i staliśmy téż tak, że docisnąć się do stołu nie było podobna; dopiero gdy się jakoś rozsunęli goście, przyparto mnie do stołu. Laporte mi kartę wepchnął w garść.

— Probój szczęścia!

Myszę tedy sobie: przez ubogiego kulfona nie zubożęję.

Wybrałem z kieszeni obrzezanego i westchnąwszy do Opatrzności, położyłem na kartę: podsunąłem ją dalej. Nie rozumiałem nic co się dzieje: patrzę, rzucili mi na mojego kulfona drugiego, potem na te dwa, znowuż dwa, na cztery cztery. Gdy przyszło do szesnastu, francuz mówi: „trzymaj,“ a kolo mnie stojący szlachcie sunie mi te dukaty i powiada: „Nie bądź asindziej głupi: bierz...

To mi lepiej do przekonania trafiło, i schowawszy je do kieszeni, od stołu chciałem odstąpić.

Francuz w pasyą wpadł. Widać że grosza przy duszy nie miał, a rwało go do gry; dałem mu tedy dwa dukaty odczepnego. Postawił jednego, wygrywał; dojechał do trzydziestu dwu, aż patrzę zabrali mu wszystkie.

Postawił drugiego, ten nie zagrzał miejsca: ściągnęli go.

Namawiał mnie mocno Laporte, abym z wygranemi dalej tentował fortunę, ale nie chciało mi

się. Wino owe szumujące, „samych panów,” w głowie mi dokazywało.

Nie będę księdza kanonika, dobrodzieja mego najlaskawszego, nudził opisywaniem tego wieczoru, który pod dyrekcyą francuza spędziłem.

Ani wiem jakżeśmy wyszli ztamtąd, a tylko pamiętam że na jedno miał baczną: ręką ciągle macalem czy trzos był na swém miejscu, a drugą pilnowałem sakiewki, gdyż w tym tłoku różnych ludzi, strach mnie brał o oboje.

Noc była gdyśmy z tego wina wyszli: ja chciałem wprost pod Orla, a francuzowi mało było, jał mnie napastować, iż na Krakowskiem ma znajomą panię, do której koniecznie chciał zaprowadzić.

Gdy go egzaminował, kto i co za jedna była, powiedział mi że wdowa po generale, osoba dystygowana i bardzo miła a piękna.

Oponowałem, że godzina późna nie była stosowną na odwiedzin; na co rzekł, iż na wielkim święcie dopiero się dzień poczyną, i tak mnie *nolentem, volentem*, mogę powiedzieć, siłą, mocą, wciągnął do téj generalowej.

Mieszkała w kamienicy nie osobliwej, na drugim piętrze i jakoś ciasno, tak, że mi się dziwno wydało. Gdyśmy weszli, wrzawa była i śmiechy;

dwóch jakichś ichmościów po francuzku ubranych bardzo elegancko, siedzieli porozwalani w krzesłach, a generałowa i druga, którą francuz nazywał jęj siostrą, na kanapie oparte, prowadziły z nimi żywą rozmowę.

Wesoło jakoś francuz mnie im zaprezentował, poczem zaraz ci ichmość się wynieśli, a my zostaliśmy.

Choć mi w głowie ów kordyał francuzki myśli mieszał, z wielkim respektem i atencją starałem się być dla generałowój, a ta, nie wiem czego, ciągle mi się w oczy śmiała, co mnie intymidowało. Francuz siostrę gospodyni zabawiał osobliwie, a znać był z nią w ekstra dobrej komitywie, bom postrzegł, jak mu język pokazywała i figę dawała.

Generałowa, osoba piękna i młoda, choćby się podobać mogła, zrażała zbytnią wesołością i obejściem się bez ceremonii. Tę się przekonał, że tonu wielkiego świata, do którego wprowadzony zostałem, całkiem nie rozumiałem i nabywać go potrzebowałem. Znaleźć się nie umiałem i śmiano się ze mnie, ale się i ja śmiał, przyznając chętnie do domatorstwa mojego.

Francuz jakieś im znaki dawał, sądzę że chciał

by mnie oszczędzano, śmiechu jednak pohamować nie mógł.

Naprowadzono rozmowę na moje przygody, a że wino uczyniło mnie mównym, dużo musiałem pleść, czego nie pamiętam. Śmiano się ciągle czy było z czego czy nie, a gdyśmy wreszcie wychodzili, wzięła mnie generalowa za rękę prosząc, aby u niej bywał bez ceremonii i uważał się za przyjaciela domu, za co w rękę ją pocałowałem z należnym respektem.

Gdyśmy wyszli, jeszcze słyszał śmiechy rozlegające się za nami: tak im było wesoło.

Był tak grzeczny francuz, że mnie doprowadził do bramy, gdyż sam pewnie pod Orlabyni nie trafił, a tu z wygranych kazawszy sobie dać pięć dukatów, co czyniło razem dwadzieścia i siedm, pożegnał mnie.

Tego dnia rachunku sumiennie nie byłem w stanie uczynić, gdyż ledwie mnie Jarmużka rozebrał, a pochyliłem się ku poduszce, sen mnie pochwycił, jakbym samym makiem cały dzień się karmił.

Miałem drugiego dnia być na wotywie, ale gdym się przecknął, Jarmużka oznajmił, że było z południa! Otóż tobie „same-pany“ pić! Głowa była ciężka, a w gębie gorycz obrzydliwa.

Ubrawszy się postrzegłem, że czas było pójść co zjeść: kwasu mi się bardzo chciało. Zehodzę na dół, a tu mój Włosowski czeka już na mnie. Ledwie postrzegł, przypadł ściskać i począł od tego, że mi szepnął zeicha:

— Dobra nasza! bez maryasza! Będiesz asindziej siedliskie starostwo miał. Chodziłem do Ryxa, naradziłem się z nim; byłem u koniuszego K., który jest moim przyjacielem od serca: obiecano mi, że pani generałowa sama się w to wda! Słowem rozpoczęta sprawa jak nie można lepiej. Siadajmy jeść.

Począł mnie badać o spędzony dzień wczorajszy, któremu wszystko opowiedział jako konfidentowi i przyjacielowi. Znajdował, że nie mogłem lepiej dnia spędzić i dodał:

— Trzeba użyć świata! póki słońca lata! reguła to generalna: kto za młodu nie brykał, na starość szaleje...

Rozpytywał mnie mocno o generałową, jakby co do téj miał jakąś suspicję, w końcu monitował:

— Z kobietami życzę być ostrożnym, smaczne to są kąski, ale często dla nich człek i zębów postrada. Domyslałem się téj generałowój, i nie angażuję zbyt się tam spoufalać.

Siedliśmy jeść, chociaż ja apetytu nie miałem; wyręczał mnie poczciwy Włosowski, a ulitowawszy się nademną, poradził mi ogórkami kwaśnemi się ratować i mocnego wina wytrawnego się napić, twierdząc iż wszystko złe pochodziło z owego modnego szampana, który zawsze nudności sprawiał.

Jakoż pod koniec posiedzenia zrobiło mi się lepiej, do czego i opowiadanie Włosowskiego się przyczyniało, który starostwa już pewien się być zdawał.

W końcu jednak dodał:

— Że je uchwycimy z przed nosa tym, co na nie już ręce wyciągają, nie ulega wątpliwości, ale kochany podczaszycu (nazywał mnie uparcie tym tytułem) nie gorączuj się. *Est modus in rebus*, a nadewszystko *patientia modus* nad modusami. Powoli tylko kroczyć, aby iść pewnemi krokami. Potrwa to dobrych parę tygodni, ale u mnie *nulla dies sine linea*; co dzień sprawa się będzie posuwać jak skazówka zegarowa po odrobinie naprzód, codziennie złożę ci w godzinie obiadowej raport i tak bezpiecznie do portu przybędziemy. *Experto crede Roberto*.

Uściskałem go za tę mowę pełną głębokiego rozumu, a coraz więcej się przekonywałem, iż mi go sama Opatrzność zesłała.

Tego dnia, ponieważ francuz mi kompanii nie dotrzymał, poszedłem sam na przechadzkę ku wieczorowi, gdzie w ogrodzie Saskim, kiedy w pośrodku stoi owa kolumna tak wspaniała, nos w nos spotykam się z kim? ze strażnikową.

Jak mnie tylko spostrzegła, zdala poczęła rękami dawać znaki, bym się przybliżył.

Ubrana była z wielką wykwintnością i miała przy sobie mężczyzn kilku, którzy jej nadskakiwali. Ci zobaczywszy mnie, marsa ustawili srogiego, ale strażnikowa podeszła rzuciwszy ich, wprost do mnie z wyrzutami, iż dotąd u niej nie byłem, a z bardzo gorącym oświadczać się afektem dla mnie i dopytując o moje rany.

Kazała mi sobie rękę podać, co mnie ostatecznie skonfundowało, i prowadząc się tak ze mną, dla którego całej swój kompanii odstąpiła, wszczęła rozmowę, zapraszając abym ją odwiedzał.

Wspomniała o francuzie, czyli téż ja o nim napomknąłem i mocno się zaszępiła.

— Kawaler de bona fortuna—odezwiała się— że nie powiem oszust. Zwodził mnie, iż pułkownikiem był, a generalstwa się na pewno spodziewał; że kapitały ma znaczne lokowane u Radziwiłłów i Sanguszków: tymczasem ludzie co go bliżej znają, ręczą, że patentu na porucznikowstwo ledwo

się doprosił, a grosza przy duszy nie ma, chyba co w karty wygra...

Gdyśmy się tak z sobą przechadzali, obserwowałem już, że ci ichmość, których strażnikowa dla mnie porzuciła, gonili oczyma za nami, szczególnie za mną, na co onacale nie zważała.

Usiadłszy ze mną na ławce, zawiązała bardzo wesołą rozmowę, i mnie z natury nieśmiałego tak umiała zaanimować, że m i ręce jej całował i w humor wpadł, jakiego nie pamiętam. Oczywiście bo miała, Panie odpusć, co gadały co chciały, można je było roznmieć lepiej od mowy, a tak się nieni wyrażała subtelnie, iż człek w końcu się zapominał.

Ta pogadanka, nad którą przyjemniejszej w życiu nie miałem, trwała dosyć długo. Nadeszła ulicą niemłoda pani, wyniosłego wzrostu, wspinała, dumna, którą ona księżną zwała i ta mi ją z sobą zabrala.

Siedziałem jeszcze na ławce, rozkoszując się tą przygodą moją, gdy ogromny człek z kapeluszem na uchu, którego widział przy strażnikowej, kiedy przyszedł do kolumnady, śpiesznym krokiem nadążył; padł na ławkę przy mnie, przez ramię zaczął mi się przyglądać, i rzecze syczącym głosem:

— *Pardon!* znasz pan dawno panią strażnikową?

Jeszcze się zbierał na odpowiedź, gdy wielce niecierpliwie począł dalej, mówiąc ze śmiechem jakimś nienaturalnym:

— Ja asindzia chciałem tylko ostrzedz, abyś był ostrożnym, w drogę nikomu nie wchodził; bo, tu nosy ucierają!

— Nie rozumiem—rzekłem mu.

— Mogłoby się powiedzieć i wyraźniej—dodał—ale na pierwszy raz widzi mi się nie potrzeba. Są tacy co panią strażnikową znają dawniej, adorują i w potrzebie swojego placu przy niej bronić będą.

— Mój mości dobrodzieju—rzekłem z flegmą, widząc, że szukał przyczepki do mnie—nikomu w drogę nie wchodzę; panią strażnikową poznałem w podróży, nie nabijając się jój, ale inwitowany! Trafiło się, iż od pp. Szelażków w łeb dostałem i łeb też jednemu z nich naznaczyłem... Ztąd moja z nią konfidencya.

Słuchał mnie z uwagą, a gdy o łbach dyskurs począł, z pewnym się okazał respektem i ton trochę odmienił.

— Bez urazy—rzekł—rekomenduję się panni: rotmistrz Rzepa; proszę mi powiedzieć otwarcie, czy masz pan jakie zamiary!

— Względem czego?

— Względem strażnikowej—dodał—myślisz pan konkurować czy nie?

Zacząłem się śmiać.

— Zkąd data?—odparłem—o konkurach nie myślę, do ożenienia się nie kwapię: wcale w różnym interesie przybyłem do Warszawy. Dodam to tylko, że gdybym istotnie zamiary miał, o czém mowy niema, odstraszyłbym się nie pozwolił.

Uśmiechnął się.

— To lubię—rzekł—to lubię. Ja zaś otwarcie się oświadczam, że strażnikową adoruję, że o nią konkurnję, i że, ktoby mi przeszkadzał, tego przez kij przesadzę.

Zatém, *satis*.

I tak zakończywszy, pochylił mi się do ucha.

— Strażnikowa powiada, że zdawna zna familią acindzieja, zatém też wy ją i familią jej i substancją znać musicie. Prawda to, że ma ino posag swój na majątności nieboszczyka i dożywocie?

— O tém ja nie wiem nic—rzekłem—ni co ma ani co mieć może; jedno tylko *recte* wiem i do-

wodnie, że ma dwóch braci, którzy szablami machają do stu dyablów.

Skrzywił się Rzepa.

— Na to są sposoby—rzekł.—Osóbka miła bardzo, gdyby substancya pyszczkowi odpowiadała, czelkby szabel się nie nłękł.

Zamruczał coś i skłoniwszy się odszedł.

Z malemi odmianami tak mi te dni oczekiwania mojego nplywały. Włosowski codzienn z raportem regularnie przybywał, jadł i pił: drugie dwadzieścia czerwonych złotych na smarowidło, jak się wyrażał, wziął, i ciągle mi obiecywał, że końca o mało co widać nie było.

Choćbym tu w tym moim raptularzu nie wszystko chciał notować, gdy się poczęło, gdy *notum* uczynił, być przed księdzem kanonikiem otwartym, taić nie chcę grzechów moich.

Jednego z tych dni stałem przeddrzwiami Orła, gdy kobieta niemłoda, niepokaźnie ubrana, poczęła mi się bardzo przypatrywać, chodzić koło mnie, pokaszliwać, aż w końcu przystąpiwszy, pyta po cichu:

— Pan Jasieniecki?

Mówię:—A tak jest.

— Chodź pan za mną.

W tém wielkiém mieścisku, kędy złych ludzi nie szukać, mnie z moimi trzosem na sobie, na lada zaproszenie iść, nie bardzo się chciało. Nie ruszyłem się nawet. Aż mi do ucha prawie przystąpiwszy, szepcze ta kobieta po raz i drugi:

— Wawerkowska!

Na te słowa rnszyłem aż nadto pośpiesznie; co zobaczywszy ta kobieta zwróciła się z admonicyą:

— Idź asindziej powoli, jak na spacer, drugą stroną ulicy, a zważywszy tylko kędy pójde, abyś mnie z oczów nie stracił.

Było kn wieczorowi, poczęliśmy tedy iść, iść, ani końca; gdzie przez całe miasto mnie prowadzi, kręci, kluczy, na drugi koniec świata jakiś. Wyszliśmy z kamienie w ogrody, między płoty; idziemy niby ku Wiśle: baba co się obejrzy, to ciągnie dalej.

Wawerkowska nie Wawerkowska — myślę sobie—sprawa być może nie czysta: zaciągną mnie gdzie na jaki lyz, w jaki wąż, zabiją, obedną i zginę jak ruda mysz.

Miałem, prawda, szablę u bokn, a jednak robiło mi się markotno.

Krzyknę tedy na babę:

— Pókiż tego będzie?

Ta kiwnąwszy głowę, pokazuje palcem w dół, i poczyną się spuszczać w wąwóz. Kiedy patrzę, aż drzewa w ziemi, a ta palcem puka do nich: otwierają się i czarna dziura przedemną.

Stara się śmieje i gębę zatula kułakiem.

— A co? strach?—pyta mnie.

Tylkom się nieco zawahał, myślę sobie, pójdę.

Weszła ona przodem w korytarz pod ziemią, ja za nią omackiem, ale widzę przed sobą świeci się. Gdzie jestem, jako żyw nie mogę zmiarkować. Drzwi szklane otwarła i przedemną salka oświecona lampami, cała w jakichś kamieniach, osobliwa, gdyby sen. W pośrodku bije woda do góry od światła jakby brylantami sadzona. Sta-
nałem osłupiały. Chciałem się przeżegnać aby te czary znikły, bo mi się to zdało jakąś sprawą szatańską, gdy wtém, patrzę, przeciwko mnie bieży śmiejąc się Józia.

Byłbym jej nie poznał, bo się przebrała czy za tureczkę, czy za jakąś niewiastę, jakie to tylko na pudełkach malowane widywałem. Klaszcze w dłonie i śmieje się, a woła:

— A co? nie było po co przyjść? Widzisz pan, panie Macieju, coto tu za cuda, w których ja nieszczęśliwa niewolnica jestem zamknięta. Stary Smok

siedzi na straży. Chodź, patrz—dodała—ciągnąc mnie za rękę.

Byliśmy gdzieś pod ziemią, bo nigdzie okien widać nie było, tylko w jedném miejscu szyby miałem nad głową samą. Jakiśmy zaczęli iść temi lochami aż mnie zmysły odchodziły. Sale były ogromne, wszystko ze skał, z kamieni, a w nich posągi, wody bijące do góry z sadzawki, szklanne pająki nad głową; to znów całe ściany w makatach i złotogłowach, to drzewo z korą, dzikie jakby w chałupach. Napatrzyć się tego nie mogłem. Szliśmy, szli, aż Jóźka siadła na ławie pokrytej kobiercem i kazała mi siąść przy sobie.

Spojrzała mi w oczy.

— Otóż to ja tn królowa!—rzekła—a co z tego? to więzienie i ja nieszczęśliwa. E! dobre czasy i bosonóżki nie powrócą; jużbym ja bez pończoch chodzić nie umiała i razowy chleb klólbym w zęby.—Mnie to było niezrozumiałe, począłem więc pytać jój, aby mi poprostu wytłómaczyła, co to wszystko znaczyć miało, jak się ona tu dostała, co tn robiła, a jeśli jój źle było, czemu precz ztąd nie idzie. Gdym pytał, zalamiała ręce.

— Ale czyż pan Maciej tego nie rozumie?—rzekła—przecież mnie widziałeś na lecy, toż ci powiedzieli co ja jestem!

— Nic nie wiem!—odparłem—nic nie wiem, tylko że mi jój żal, i że jeśli trzeba ratunku jakiego, jam gotów.

Poczęła się śmiać smutno.

— Ratunekby był jeden — rzekła—stryczek na szyję, albo sztylet w serce; innego niéma: kto wpadnie w takie przepaści już z nich nie wychodzi.

Milczalem, nie wiedząc co mówić, litość mnie wielka brała, usilowałem odgadnąć czemu to ona była tak nieszczęśliwą.

Popatrzywszy na mnie z jakimś politowaniem, jakby już o sobie mówić nie chciała, zaczęła prędko, śpiesząc pytać mnie, badać o to, com ja robił w Warszawie, jak długo myślę pozostać i t. p. Nie chcąc się przed nią z tych spraw tłómaczyć, ogólnikiem ją zbyłem; mam dolegliwe interesa, za którymi chodzę, szukając dróg i protekcyi.

Z ciekawością kobiecą nalegać poczęła, abym jój wszystko wyjawił, bo możeby ona mogła się przydać na co. Jam się śmiać począł, lecz zaledwie nieostrożniej wybuchnąłem głośnieję, gdy mi obiema rękami usta zatknęła, bo prawda, że śmiech mój po tych pieczarach rozległ się, aż mnie samemu straszno się zrobiło.

Jak mi tych dwoje rąk do ust przyłożyła, wziąłem się je cinoktać i całować, że je natychmiast oderwała, zmieszawszy się mocno i wstała z siedzenia prędko.

— No—odezwała się, wzdychając—teraz kiedyś pan te cuda podziemne widział już, trzeba się pożegnać.

Mnie się wcale nie chciało być rychło odprawionym, ale dodała zaraz:

— Gdyby, uchowaj Boże, kto tu pana zastał i zobaczył, miałabym biędę okrutną.

Tém mnie wygnała, bom nie chciał, uchowaj Boże, aby za mnie pokutowała. Zabrałem się więc do wyjścia. Prędko poczęła biędz przedemną lochem ciemnym; otworzyła drzwi, i już na wychodnym, jak mnie porwała za szyję, płacząc, chciałem zawrócić, gdy popchnęła mnie od siebie precz i drzwi zatrzasnęła. Dopiero gdym tu stał sam jeden w tych mrokach, bo na dworze ciemno się zrobiło, odsunąwszy w tych drzwiach lufcik, wysadziła główkę i zawołała:

— Ja téż mam po świecie dużo znajomych i przyjaciół, jak się panu Matenszowi nie powie-dzie, daj znać do Wawerskiej na Szulec... a ja próbuję...

Ponieważ blisko stałem, widząc, że główkę wychyliła, dopadłem, Boże odpuść, chcąc ją jeszcze pożegnać, ale mi na nosku pogroziła i, szast, już jój nie było.

Ojcie mój, najlaskawszy dobrodzieju, wszystko to przeszło i minęło, i za tę płochość moją sercem skruszoném żaluję a kajam się: ano kiedy pomyśle, co to jest moc niewieścia nad słabym człowiekiem, truchleję. Gdyby téj godziny, ona Jóźka, com ją boso w anderaczkę chodzącą widywał, i ani patrzył na tę smarkatą, gdyby ona mi była rzekła, bij a zabijaj, byłbym mordował ktoby mi się nawinał; gdyby mi rzekła, oddaj co masz, byłbym jój oddał coby żywie zażądała i duszę zastawił.

Co tu na to rzec? jedyny środek przeciw takiéj pokusie, żeby od niéj uciekać. A jam wówczas i tego rozumu nie miał, bo ona lufcik zamknęła, a jam u niego stał; chciało mi się drzwi wyłamywać i gonić: szak mnie ogarniał.

Dopiero tak dobrą chwilę postawszy słupem, wstyd mi się zrobiło, aż i uczulem, że baba owa co mi drogę wskazywała, ciągnie za rękę i szepcze:

— Chodź pan, ja mu drogę pokażę: nie tra-fisz sam.

Poszedłem za nią posłuszny ze spuszczoną głową, a gdy mnie do Nowego-Świata doprowadziła, Raptularz.

dałem jój talar bity. Myślałem, że choć podziękuje, ale widać nawykła była, bo popatrzała nań. kiwnęła głową i chowając do kieszeni szła precz.

Wróciłem do domu, tyle że z bólem głowy od tego lochu, co mnie w nim i zimno i gorącość taka objęła.

Zdaje się, że tych dni na szczególnie fantazyjne nieprzyjaciela rodu ludzkiego chciał mnie wystawić, a wiedząc słabość moją, przez niewiasty do zguby wiódł. Zaraz z rana, kiedy mi jeszcze balwierz brodę golił, przyszedł sługa strażnikowój z kartą od niej, abym na obiad się stawiał.

Rad byłem, tylko mi szło o to, że tego dnia Włosowskiego widzieć nie będę i nie dowiem się co zrobił; musiałem do drugiego dnia mieć cierpliwość, napisawszy do niego, iż tego obiadu doma nie jem, dla ważnego impedymentu.

Do strażnikowój musiałem najlepszy garnitur wziąć i przystroić się nie dla przypodobania jój, bom nie miał tego na myśli, lecz by wstydu Jasieńnickim nie niezysnąć.

Stała strażnikowa bardzo przystojnie w domu wielkim na górze, i służbę miała swoją i przyodzianą w barwie. Myślałem tam zastać kompanię znaczniejszą, a co najmniej owego rotmistrza Rzepę, co się tak zalecał i adorował, ale nie było ani

jego ani nikogo z młodszych; tylko stary i głuchy stryj nieboszczyka jój męża i dwie niemłode panny knzynki, trochę ze staroświecka téż ponbierane. Że te bawiły stryja, do ncha mn hałasując, bo inaczej nie nie słyszał, mnie się prawie samemu strażnikowa została.

Uprzejmą téż dla mnie była tak, że się ciągle oglądał, ażali się Rzepa nie zjawi, aby mnie odsadził.

W rozmowie po obiedzie wręcz mnie zagadnęła, czy się ja żenić nie myślę, a jakiejbym sobie życzył.

Zrozumiawszy intencją wysondowania mnie, musiałem odpowiadać oględnie, i rzekłem: że o ile pragnę uszczęśliwienia w świętym stanie małżeńskim, o tyle obawy mam wielkie, i nie czuję się jeszcze usposobionym do wzięcia tego brzemienia na ramiona.

Zaczęła się tedy ze mnie wysmiewać, i rzecze:

— Acaun nie lada jakiego wyrostka dziewczyny trzeba, co by nie miała doswiadczenia, ale niewiasty dojrzalej i statecznej, z tąbyś mógł być spokojny i szczęśliwy.

Nie na to nie oponując, dorzuciłem tylko, że ciotkę starościnę Motuńską wenerując i za matkę ją sobie poczytując, nie bez jój rady i konsensu nie śmiałbym się brać.

Uważałem, że gdy to rzekł, usta jakoś zasznurowała osobliwie, i dodała:

— Szanuję wielce panią starośćinę, ale to kobieta despotyczna, co i męża, póki żył, za nos wodziła i waszmości, gdy się jój poddasz, gotowa koczkodona narzucić. We wszystkiém starszych słuchać piękna rzecz, tylko w sprawie małżeńskiej, serce musi mieć pierwszy głos.

Ja tedy nie zapuszczając się już w dłuższe o tém dysertacye, począłem śmiejąc się, pytać o rotmistrza Rzepę, opowiadając jój jak mnie wczora atakował, chcąc zjeść bez chrzanu i soli.

Posłyszawszy o nim zarumieniła się mocno.

— Otóżto—zawolala nagle—taki mój los nie-szczęśliwy, że kogobym ja życzyła sobie, ten mną spernuje, a drudzy mi niemal gwałt chcą zadawać, aby się ręki mój dobili.

Najprzód francuz obsedował, balamucił, nalegał, że choć furfanta się w nim domyślałam, jużem go z biędzy wziąć była gotowa, gdy się okazało, że pijak, szuler i grosza przy duszy niema. Teraz znów ten Rzepa się za mną rozbija i radby mi wszystkich poprzeganiał. Śliczna rzecz nazywać się rotmistrzową, jak? Rzepichą??

Uderzyła się w dlonie i poczęła się śmiać.

— Słuchaj panie Mateuszu—dodała, przysiadując się do mnie—pomyśl dobrze jak statecznej żony zapragniesz, a takić coby świat znała i pomocą ci w nim być mogła, ja jedną taką znam, którą ci swatać jestem gotowa.

Śmiać się poczęła figlarnie wdzięcząc do mnie.

Ja tedy medytując, ktoby to mógł być taki, a zrazu się nie domyśliwszy, z wdzięcznością ją w rękę pocałowałem; ona też ścisnęła mi rękę, i dodała:

— Z waćpana bo chłopiec bardzoby mógł być przystojny, tylkoby go wymustrować trochę trzeba i popychać, boś zapowolny.

Ale może to i dobrze, bo przynajmniej balamuctwa po nim żona obawiać się nie potrzebnje.

Na com jój odpowiedział seryo, że raz poprzyśiągłszy wierność, duszy mój gubićbym nigdy nie chciał, ani się na jaką płochość targnąć.

Strażnikowa uderzyła mnie po ramieniu i tę dała mi pochwałę:

— Przedziwny jesteś!

Jużeśmy do kompanii głuchego powracać mieli, gdy zróciwszy się do mnie rzekła:

— Co tam acan w tém mieście robisz? Znajomych nie masz pewnie wiele, przychodź do mnie codziē. Stołować się w oberży i kosztuje i niezdrowo; u mnie stół codziē nakryty, dla waści

krzesło stać będzie. Przychodź to i mnie i siebie rozerwiesz.

Znowum tedy dziękował wielce, bo mi to istotnie się uśmiechało. Włosowski mógł z raportem w inną porę przychodzić, a te obiady z nim strasznie kosztowały: zaoszczędzić grosza przy tylu ekspensach nie było od rzeczy.

Mruknąłem dla ceremonii, iż nie radbym robić subiekeyi, na co roześmiewszy się odparła:

— Nie bądźże śmieszny. U mnie codziennie ktoś ję; jednym mniej jednym więcej: co mi tam!

Ruszyła ramionami.

Powróciwszy pod Orła, gdym na górę iść miał, ze drzwi jadalni wysunął się Włosowski.

— Cóżto, podczaszycu kochany—zawołał — dezerterniesz z placu, od starego sługi twojego. Ja tu musiałem nie obrachowawszy iść gdzieindziej z obiadem, zjeść co na twoje konto, a czekając, pono drugą butelczynę snszę.

Wszedłem z nim do jadalni, rad że się ułożę o dalsze raporta, i oświadczyłem mu co się święci, iż znalazłem tu dobrodziejkę, która mi stoł ofiarowała; że więc obiadów już w oberży jeść nie będę i prosić go miałem, aby rankami do mnie przychodził z raportami.

Zasępił się biedny starowina i głowę potarł.

— Fatalna konjunktura — rzekł — właśnie ta pora obiadowa jest u mnie jedyną, wolną i do dyspozycji pozostającą.

Asiudziej nie uwierzysz, panie podczaszycu — dodał — co ja mam na swojej głowie! Znają mnie ludzie, że wiele mogę, przeważali stosunki, z którymi ja się taję, i tylko najpoufalszym zwierzam się z nich; więc jak dym, kto żyw do mnie: ani chwilki nie mam swobodnej, biegając, chodząc i ludziom pomagając.

Nie wiedziałem jak radzić na to, bo znown ekonomika i przyjemne towarzystwo strażnikowój ciągnęły mnie; spostrzegł stary mój frasunek i rzekł:

— Inuiej już na to nie widzę rady, jeśli chcesz attentować przy strażnikowój, abyśmy chyba czasu wieczery się tu schodzili. Wieczereć tak czy owak jeść musisz, bo bez téj cyganie się śnią i z próżnym żołądkiem iść do sun, wiem to z doświadczenia, rzecz niebezpieczna; schodźmy się więc na wieczereć!

Musiałem na to przystać.

Zapytałem o interes, zapewnił mnie znown, że starostwo mieliśmy w kieszeni, ale na dzień decydujący trzeba było wyczekiwać, aby król JMC. był w dobrej dyspozycji. Zaręczał mi, że nawet przywilej był wygotowany już, ale formalności do do-

pełnienia tyle, iż się jeszcze ciągnąć musiało. Opowiedział mi, że parę gąb jeszcze, aby nie paplały pozatykać potrzeba będzie. Pieniądze płynęły jak woda, musiałem mu znowu dać.

Powróciwszy na górę, tknęło mnie aby ogólny obrachunek kasy zrobić. Jarumżce drzwi nakazawszy zamknąć na klucz, a nie wpuszczać nikogo, zdjąłem trzos, dobyłem notatki i przystąpiłem do weryfikacji. Wydatki miałem ponotowane wszystkie, ale *datum* ich w pamięci nie miałem.

Już zdejmując trzos postrzegłem, że lekki był, a odrobina w nim dukatów bila się jakoś z końca w koniec. Do rewizyi przystąpiwszy i wytrząsłszy trzos, a wywróciwszy go naliczyłem, że dwóchset pięćdziesięciu starościńej, do których moich własnych dodałem dwadzieścia, *in summa* 270, *extra* trzydziestu talarów bitych, których dawno nie było, bo w świat poszły, jedynych pozostałych (nie rozchodźcie się!) osiemdziesiąt. *Plus* była kartka starościńej do Teppera, ale ta dopiero *in articulo mortis* miała być zrealizowaną.

W czas tedy strażnikowa poprosiła na obiady, choć wieczerze z Włosowskim także mogły zacieżeć.

Dopiero mi „gorzkie żale“ przyszły do serca i refleksye smutne, że się tyle grosza puściło mię-

dzy ludzi. Wprawdzie francuz obiecywał oddać co pożyczył lada godzina, i to mnie trochę konsolowało. Zamierzałem za pierwszém z nim widzeniem się nacisnąć go, aby mi się wypłacił.

Nazajutrz, chociaż od rana skwar sierpniowy był nadzwyczajny, poszedłem najprzód pieszo na mszę świętą, na intencją moich interesów i przyspieszenia rezolncyi ostatecznej, potem do Szarakowskiego.

Ten przyjął mnie w kancelaryi, kazawszy długo czekać aż kolej na mnie przyszła. Wziął mnie na spowiedź powszechną, wysłuchał, i co do Włosowskiego powiedział mi, iż go tu nikt nie zna.

Kręcił bardzo głową, a mnie właśnie to konfirmowało co on sam wyznawał, iż się ze swojemi stosunkami tail.

Zimno bardzo traktował mnie ten Szarakowski i odstęczył od siebie. Zakończył naukami moralnemi, abym ludziom zbytniej wiary nie dawał, illnzyi sobie nie robił, a poknsom miejskim, które wiele młodzieży przyprawily o szwank, nie poddawał się.

I takeśny się rozeszli prawie z niczém, bo ino ramionami ruszał słuchając mnie i powtarzał:

— Asindziej tn nie nie zrobisz. Patrzaj aby go na fundusz nie wzięto.

Napróżnom asekurował, że nie jestem prostaczek taki, aby mnie lada kto miał otmamać: on swoje ciągle prawil.

— Bądź asindziej ostrożny, obietnicom nie ufaj: to są blichtry.

Najbardziej mnie to obeszło dla Włosowskiego, którego po dziś dzień mam za sumiennego człowieka, i dobrze mi życzącego.

A co w tém było najosobliwszego to, że znown Włosowski, gdy o Szarakowskim mawiałem mu, odzywał się zawsze z przekąsem:

— Stary wyga! ostrożnie z nim; z tych to on prokuratorów, o których Paprocki pisze, że ich w Krakowie „na rybnych stolech“ kijni bijano.

Z dwu ich mnie i do przekonania Włosowski więcej przypadał. Z nim mi jakoś było ciepło, człek się rozruszał, a Szarakowski, drugi Floryan patron, wodą tylko oblewał.

Szedłem na obiad do strażnikowój, gdzie już był jak w domu, mogę powiedzieć. Gości tego dnia znalazło się dosyć, posadziła mnie prawda na szarym końcu, ale gdyśmy zasiadali, rzekła:

— Panie Matenszu, ja waćpana tu gospodarzem czynię. Gospodarz jak u siebie w domu, gości pilnuj, nalewaj, służbie rozkazuj. Masz asindziej pełną plenipotencją, i odpowiesz mi za wszystko.

Wziąłem się ochotnie do tego obowiązku i nie chwając się, spełniłem go ze satysfakcją ogólną. Prawda, że sam mało co jadłem i niewiele piłem. Z półmiskami przychodzili do mnie na ostatku, gdy na nich tylko sos już pozostał, albo ochłapki, ale mnie to niewiele obchodziło.

Gospodyni po obiedzie, rzekła mi na ucho:

— Dobry z waćpana gospodarz, ale patrzajże abys mi już nie chybiał, bo mi z ténym wygodnie i wdzięczną miu jestem.

Przyczem rękę atlasową dała do pocałowania i śmiała się, a oczyma do duszy mi zaglądała.

Inni téż goście dziękowali mi, co mnie w dobry humor wprowadziło.

Po obiedzie gdym już miał się absentować, dwu ich z kolei przyszło z wizytami i musiałem się zatrzymać. Pierwszy przyszedł Rzepa, a nie chciałem aby myślał, że ja mu z drogi schodzę, zostałem więc; potém nadciągnął francuz mocno napity, kędyś z obiadu. a tegom rad był złapać, aby go o moje pieniądze nacisnąć.

Jak na złość mnie unikał, dopiero gdy wychodził, bo go tu bardzo kwaśno przyjęto, chwyciłem go pod rękę i w nlicę wyszedłszy, począłem o moje dukaty domagać się.

Wziął to bardzo źle.

— Cóż to za impertynencya?—rzekł mi—samci mi się z niemi narzucał, i prawie gwałtem je wcisnął (co fałsz był wierutny, ale że pijany plótk, to mu się przebaczało), a teraz gwałt! oddaj!

Toż nie uciekam! będzie na to czas!

I tak wyrwawszy mi się zły, poszedł; ale złe też przyjęcie przez strażnikową takim go uczyniło: folgowałem mu więc i poszedłem do oberży.

Tu dobrze przed czasem wieczerzy nadszedł Włosowski i wniósł, aby na raki jechać w Aleje, a niekoniecznie dusić się w mieście. Chętnie mu towarzyszyłem i zawiózł mnie fiakrem, którego zapłaciłem, na takie raki, osobliwym sekretem (jakem się dowiedział) przyrządzone, iż odjeść się ich nie mogliśmy. Przyczém kurczętom się dostało i parę butelek wysączyło, po snychotnym obiedzie bardzo ochoczo.

Włosowski był ekstra dnia tego zaanimowany i wesoły, a dykteryjki mu się sypały, że ciągle za boki trzymać się było potrzeba.

Gdy my tu tak siedzimy w kątku, jak n Boga za piecem, a ze śmiechu się dusim, z tłumu ludzi który tam był na tych rakach, wyłazi jakiś długi, duży z podgoloną głową, ręce za pas założywszy i prosto na nas. Popatrzał z boku na Włosow-

skiego, głową pokiwał i przybliżył się: znać napiły był. Dopieroż podniósłszy głos poczyną:

— Ej! ty stary szalbierzu! a kogóżeści to znowu sobie znalazł, by mu baki świecić. Patrzaj! myślałem że biędę klepiesz, bo cię już znają jak złego szeląga, a ty jakiegoś symplicyusza, hreczkosieja, ciągniesz!

Śmiać się zaczął: Włosowski zerwał się oburzony; myślałem, że do awantury przyjdzie, gdy wtém poczęto w głos wołać na tego turbatora i poszedł kędys.

Jam się jał przepraszać pocziwego starego, że z mój przyczyny był narażony na despekt taki, bo się cały trząsł z gniewu i chciał szukać satysfakcyi. Jakoś go umitygowałem i wyciągnąłem ztamtąd, bo choć stary, ciągle się do szabli rwał, i odgrażał, fukał, a bałem się aby do awantury nie przyszło. Ledwie go wyrwawszy ztąd, do fiakra wsadził i tak się to upiekło.

A to był sławny niecnota i pijanica, jak mi Włosowski opowiadał, co go miano z miasta wywołać.

Nazwiska nie pamiętam.

Znowu mi przychodzi *summatim* tylko opowiedzieć dzieje moje, księdzu kanonikowi, dobro-

dziejowi mojemu najlaskawszemu, gdyż dyarynsz ich jużby go może zmndził.

Nie zapieram tego, że mi to życie coraz bardziej smakowało, obfitując w przyjemności, a jedną tylko troską było, że grosz z trzosa uciekał. Francuza ani na lekarstwo nie mogłem nigdzie złapać.

Strażnikowój stałem się niemal domowym, bo mi już wszystko polecała, i na mieście nawet pokupki dla niej robiłem.

Włosowski zaś codziennie niemal raport jeden powtarzał, aż do pewnego dnia, gdy przyszedłszy z miną zafrasowaną bardzo, nagłony przezemnie wyznał, że niespodziane znalazły się i groźne bardzo trudności.

Pani Krakowska, ulubiona siostra królewska, miała jakiegoś starego nieboszczyka hetmana służącego forytować na starostwo to; trzeba więc było na gwałt tego kompetytora zaspokoić i odstraszyć.

Powiadał mi Włosowski, jak się do tego umiętnie wziął, jak go podszedł, jak strwożył i na słowo wyciągnął; że reces da od starostwa, ale mu należało pięćdziesiąt czerwonych złotych zaraz wyliczyć, aby sobie jechał precz.

Potem już ręczył, że wszystko pójdzie jak po maśle. Drogie mi się to masło wydawało, lecz

gdy się już tyle wyekspensowało dla tego starostwa, nie mogłem się cofać. Gdy przyszło do trzosa, spostrzegłem, że odliczywszy pięćdziesiąt, zostało mi na dnie kulfonów tylko kilka.

Widział to Włosowski i jak był serdeczny człek, kompatyzujący ze mną, spytał mnie nader troskliwie:

— Jakże to już—*ultima ratio*?—a cóż będzie dalej, gdy przyjdzie do pieczętowania? i t. p.

Widząc że się niepotrzebnie trwoży, pokazałem mu kartkę na Teppera, i zaraz mu frasnnek odszedł.

Rzekł mi tedy:

— Idźże, panie podczaszyen (bo mnie zawsze tym podczaszycem honorował, a drudzy też za nim, co mnie śmieszyło), idź jntro do Tepperów, podnieś: bez zapasu w kieszeni chodzić, nie zdrowa rzecz.

Drugiego dnia, przed obiadem u mojej dobrodziejki strażnikowej, poszedłem do tego Teppera. Myślałem, że zastanę żydka, co pieniędzmi kupczy, a tu wpadłem na takie państwo i przepych, żem dostawszy się do niego samego, bom się o to niepie-rał aby personaliter go widzieć, języka w gębie zapomniałem.

Znalazłem pana orderowego, strojnego jak na królewskie pokoje; u drzwi karetę z liberyą, służ-bę pańską, kompanię książęcą u niego i w dodatku,

gdy moją kartkę zobaczył, prawie mnie grubiańsko odprawił.

— Ale po cóż acindziej z taką drobnostką mnie chciałeś koniecznie turbować? Czasu nie mam, proszę do kassy: tam mi zapłacą.

I w żadną konwersacyę, ani tlómaczenia się nie wdając, tyłem się zwróciwszy do mnie, do książąt odszedł nazad, a ja z moją kartką od stolika do stolika chodząc, nie mogąc się dowiedzieć o kassie, ledwie w końcu kommizeryą jakiegoś woźnego do moich stu dukatów mogłem się dochrapać.

Chciałem za uczucia grzeczności p. Teppera pójść mu dziękować, ale mnie nie dopuszczono. Mówiono, że do króla do Łazienek pojechał.

Z tego wynikło że na obiad do strażników się spóźnił, i przyszedłem już po zupie, a buręm oberwał. Musiałem się tlómaczyć temi Tepperami, aż się śmiano nie wiem z nich, czy ze mnie.

Na obiedzie tego dnia był jeden z braci jejmości, ten właśnie pan Szelażek, któremu ja głowę natłukł, a on mnie moją nasiekał. Przyjął mnie jak nie można lepiej, uściskał i dziękował, że jejmości siostrze jego służy.

Po obiedzie wziął mnie pod bok do drugiego pokoju.

-- Widzę ja—rzekł do mnie—co się to święci. Ale bądź spokojny, nie będę ja miał nic przeciwko temu, ani brat mój. Co innego było z tym przybłądą francuzem. Strażnikowa mi dała do zrozumienia, że waszci prefernje. Z Panem Bogiem! Tyranizować jój nie myśleliśmy i nie chcemy, a despektu familii uczynić nie damy. Staral się pono Rzepa, kaduk wie z jakiego ogrodu i choć rotmistrz, a mnie Rzepa wszelka chłopem i plebejem pachnie.

Ależ, słuchaj, panie Mateuszu, dobrej rady; jeśli babę weźmiesz, hej! trzymajże ją krótko, bo ja ci z góry zapowiadam, że bryka. Za nieboszczyka strażnika bez kozery nie było, teraz czasu wdowieństwa, nieco sobie folguje, więc trzeba ją, mówię ci, w łapach trzymać a ostro.

Dopieroż ja mu powiadam:

— Ależ ja jeszcze na tym punkcie nie jestem.

A on mi mówić nie dając, i po ramionach bijąc:

— Jesteś nie jesteś na tym tam punkcie, a na nim będziesz, bo baba co zechce to sprawi. Już ty u niej służką pokornym: zawiedzie cię kędy się jój zamarzy.

Rodzonać to nasza, wesola, dobra, nie więcej, tylko że bryka! o, bryka! Zatem, strzeżonego Pan Bóg strzeże?

I tak mi nagadawszy, z czegom ja się śmiać musiał, szedł nazad.

Skinęła na mnie strażnikowa.

— Co on ci tam na mnie poplótł ten niezdar?—zapytała—nie słuchaj go. Sam szalała, drugichby swoim łokciem mierzyl.

Powiedziałem jej śmiejąc się, że mnie miał za to czém nie byłem, a suponował iż w łaskach u niej stoję, do czego ja presumpeyi nie mam. Ta się uśmiechnęła, żeby mi pokazała i szepnęła:

— Proszaczek jesteś, ale ja takich lubię. Ino mi nie dezterteruj, boi do acana nawykła. A koniec temu jakiś musi być, pewnie dobry.

Nie mogę powiedzieć ażebym się ja w niej zbyt rozmiłował: ciągnęło mnie daleko mocniej do tej ntrapionój Jóźki, za którą się tęskniło; ale strażnikowa miała jakąś władzę nademną i nawykłem do niej, że mi już jej nie widząc, nie słysząc markotno było. I dom jej niemal za swój uważałem.

Było jakieś fatum w tém, że się coraz więcej a powoli lgnęło i nalogowało. Przytém muszę się z tego wypowiadać księdzu kanonikowi, dla którego nie nie chcę mieć tajem, że gdy czasem

została ze mną sam na sam, poufałą się stawiała bardzo, a przysiadła do mnie i zachęcała, ażebym z nią był jak najbliżej. Więc człowiek nie kamień, obligowała mnie tém iż afekt okazywała, a jam téż go jój odmówić nie mógł. Przychodziło do tego, że mi tam całusa dała półzartem, a jam jój go naprawdę oddał. Zrana czasem kiedy się jeszcze ubierała i w pudermantlu siedziała, albo ją służa sznurowała, kazała mnie puszczać i pozwalała siedzieć, tyle niby nakazując, ażebym oczy spuszczał, i nie bardzo patrzył: ale się tego nie słuchało.

Coraz mi się tedy podobała więcej, a że grzechu w tém nie było, bo i na ten czas myślałem już: obojeśmy wolni, będzieli wola Boża, a okaże się ona jawnie, pobierzemy się.

Uspakajało to sumienie moje.

Z racyi zaś i téj i sprawy, ponieważ do podniesienia stu dukatów przyszło, siadłem pisać do staroścień. Świadcę się listem tym, który ona *in originali* okazać może, że nic nie tailem przed nią. Trzy ranki nad raptularzem listu tego strawiłem, z niemałym umysłu nateżeniem.

Znając staroścień wiedziałem, że ona się lada czém kontentować nie będzie, i że znajdzie li w piśmie luki, pozwie mnie do komportacyj nowych do-

kumentów. Odrazu więc wypisałem niemal dyaryszu sposobem com zrobił, kogo nżyłem, na jakim stoję stopniu; naostatek i co do strażnikowój nie zatailem w jakim z nią jestem stosunku, a do czego to ewentualnie, jeśli wola w tém Boża, doprowadzić może.

Gdy mi list wyprawiać przyszło, a pomyślałem jak on przyjęty będzie i co za sobą pociągnie, wahałem się obawiając burzy i piorunów, wreszcie pchnąłem go na pocztę.

Rozumnie się, iż co do Jóźki, o której księdzu kanonikowi jako ojcu piszę, com nagrzeszył myślą i gorącością krwi, pani starościnnie, jako matronie i niewieście, zataić musiałem.

Szło dalej wszystko porządkiem jakim opisałem, z tą różnicą, że do Szarakowskiego nie miałem ochoty się zgłaszać, a francuz dawniej ze mną poufały, widać nie mogąc się miścić i wstydząc, już mi się nie nakazywał.

Prędzej niżeli się spodziewałem nadeszła odpowiedź od ciotki dobrodziejki, którą że z sercem poruszoném i parę razy przeżegnawszy się czytać zacząłem, wyznając.

Już to starościny rękę czytać nie miała praca, ten wie kto ją zna, a im żywiój poruszona pisze, tém hieroglify to straszniejsze; bo tam nie pytać

ani interpunkcyi, ani między wyrazami odstępów, a nieraz wiersz jeden na drugi zachodzi: zapisała do mnie dwa półarkuszki srogie, na które patrzeć groza była. To szczęście, iż ja już to pisanie tak znam jak moje własne.

Co do sprawy, widać że Szarakowski musiał jej coś pisać, bo też mi mówiła co i on, że się dał obalamnić i trutniom w ręce wpadłem. Kończyła tedy: jak sobie pościelesz tak się wyśpisz, i groziła, że pieszko bez grosza i bez starostwa powrócę do domu.

Naostatku dopiero szła strażnikowa. Znała ją dobrze ciotka, i pisała, że się dał w sidła ulapić. Kobieta od ciebie starsza, wdowa, majątek nie wielki a dożywotni; ale jeżeli ci stare po drugich graty smakują, lepićjbyś tę wziął niż balamietwem się bawił, albo został bez żony.

Nie chwaliła mi tego, ale zbyt nie oponowała kończąc: twoja dola taka, że cię ktoś za nos wodzić musi. Starsza to rozumniej potrafi i cugli nie poczniesz tyle. Niech cię tam Opatrzność Boża ratuje, bo ja widzę, że nie dam rady. Ale bez mego konsensu, żebyś mi się nie ważył.

Co mnie najwięcej rozrzewniło, iż wchodząc w położenie moje, abym wstydu nie miał i biedy nie zaznał, znowu na Teppera przysłała mi kwi-

tek, zaklinając na wszystkie świętości, bym nie podnosił chyba bięda naciśnie.

„Nieopatrny jesteś, ludzie cię drą i wyłudza-
ją grosz; gdybyżci choć doświadczeniem rozumu
nabrał, jużby mi pieniędzy tych nie żał było.
Zlituj się nie dawaj trutniom, a nie płać za to, że
cię oszukują.“

Dotknęło mnie to, że tak źle trzymała o Wło-
sowskim, a choćby i o francuzie, którego niespo-
dziane okoliczności w takim terminie postawiły,
iż mi się uścić nie mógł, ale przyjął to w po-
korze i list ucałował.

Onego kwitku na Teppera wcale już użyć nie
spodziewałem się, bo i francuz mógł lada dzień
oddać, i Włosowski zaręczał, że dopiero na pie-
częć pieniędzy zapotrzebuje, gdy już przywilój *rec-
te* podpisany mieć będziemy.

Z tego listu ciotki Motuńskiej nie opowiada-
łem się strażnikowej, bo jak była despotyczna,
zarazby go widzieć i czytać żądała, a tegom do-
puścić nie mógł, gdyż ciotka się o niej wyrażała
szorstko.

Duch we mnie wstąpił nowy po tym liście, ale
starostwa byłem tak jak pewny, a strażnikowej mi
nie brouiono, gdyby wola Boża się okazała.

Naglilem na Włosowskiego mocno, lecz stary choćby był rad pośpieszyć, nie mógł: nie dependowało to od niego.

Kilka tygodni tak przeszło i kanikuła, która w tym roku bardzo była dokuczliwą, zbliżała się ku końcowi. O Wawerskiej czyli Wawerkowskiej, bom nazwiska jój dobrze nawet nie wiedział, słuchu jakoś nie było. Stara owa kobieta, która mnie na Sznlec przeprowadzała, gdy ją raz przypadkiem spotkałem w ulicy i zapytałem o jój panią, rzekła mi:

— Jaka ona mnie pani! Niéma jój w Warszawie, bo musiała za księciem do Białegostoku jechać. Ano rychło pewnie powróci.

Domyślałem się tedy, że u tego księcia w służbie około żony jego, lub garderoby być musiała, a że jój się tam dobrze działo, widać było z klejnotów i sukienek. Zapytałem baby o nazwisko księżęcia: powiedziała mi że króla brat!! Ho! ho! pomyślałem sobie, gdzie ta Jóźka zajechała!

Po téj rozmowie, za którą musiałem babie pół talara dać, z tydzień upłynął, aż mi ona przyniosła ustny ukłon od Jóźki i zaproszenie, abym, chcęli ją widzieć, na godzinę o mroku szedł do Saskiego ogrodu i w bocznej ulicy na prawo przechadzając się czekał.

A że strażnikowa téż ów ogród Saski lubila i mało nie codziennie chodziła tam na sorbety i laskocie, musiałem wziąć na uwagę, czy bezpiecznie było tam iść a narażać się na to, by mnie zbluzgała, bo okrutnie była zazdrosną i trzymała mnie tak, że na żadną kobietę spojrzeć nie pozwalała.

Waliałem się w sobie, ano pokut. a zła prze mogła; mówię zła, gdyż dziś to mocno czuję, że ani baby rozpytywać, ani na żadne schadzki nie powinien się być ważyć, mając już pewne zamysły co do strażnikowej.

Źle się to ze wszelki miar stało, ale nieprzyjaciół rodu ludzkiego, który czyhał na mnie, a znał słabość moją, wiedział jakich przeciw mojej duszy użyć sposobów.

Poszedłem o szarej godzinie w ulicę tę, nawet Włosowskiego, który na mnie czekał do wieczórzy, zapomniawszy i zaniedbawszy.

Jużem może przez kilka pacierzy się tam przechadzał napróżno, rozglądając na wszystkie strony, czy gdzie Wawerskiej nie zobaczę, kiedym usłyszał drobne dreptanie szybkie w bocznym szpalerze i tuż wbiegła Jóźka, którą po figurze i ruchu zdaleka poznałem. Zbliżyłem się ku niej prędko witając, w alei nikogo nie było, więc zaczęła bardzo serdecznie się garnąć do mnie, wypytując ona

mnie, ja ją. Takeśmy się zacierzewili jakoś i zapomnieli, żeśmy się ani spostrzegli, gdy w końcu ulicy pokazała się strażnikowa. Pod rękę ją prowadził Rzepa i pochylony coś jój szeptał na ucho. Jakem ją tylko zobaczył, wołam do Józki:

— Na miłość boską, uciekajmy! w nogi.

Porwałem ją pod rękę i zaczęliśmy biedz, sami nie wiedząc dokąd; tyłkom słyszał za sobą, że mnie strażnikowa wołała głosem wielkim. Lecz puściwszy się, nie myślałem się już zatrzymywać, i tak zadyszani oboje dopadliśmy do wrót ogrodowych.

Wtém to utrapienie Józka, jakby głowę straciła, bez żadnej już przyczyny, bo nas nie goniono, rzuciła się w fiakra stojącego i woła na mnie:

— Siadaj, a prędzěj!

Ledwiem wskoczył. ta na woźnicę krzyknęła:

— W konie! ruszaj!

Zdawało się, że jój to szaleństwo jakieś robiło przyjemność, bo gdy ja drżałem z aprehensyi, to się śmiała a śmiała: była jakby upojona.

Odjechaliśmy już niemal w cwał dobry kawal od bramy palacu i ogrodu, gdy ten trzpiot wychylił się do furmana: zaczęła coś do niego mówić bardzo prędko, jakby się z nim targowała: woźnica się trochę opierał, sprzeczał, a jam siedział jak oglupiały.

Po chwilce siadła przy mnie, i za boki się trzymając, zaczęła mówić prędko:

— No, porwałam sobie p. Mateusza, dziej się wola Boża! Jedziemy do Kozienic!

— Dokąd? jak?—począłem pytać.

— Do Kozienic!—No, coś strasznego: zrobimy sobie wakacje!

.
.

(W tém miejscu, zdaje się, że ręką księdza kanonika Łuckiego, stryja autora, wystrzyżono kart kilka z raptularza, a na pierwszej z następnych kart pozostałych, atramentem czarnym, z wielką usilnością zamazano wierszy pięć. tak że ich odczytać niepodobna. Dalszy ciąg zaczyna się od słów następujących):

...Pytam gdzie się podziała, a służa z austrii powiada mi, że ów bilecik jeszcze wczora przygotowawszy, konie najęła pocztowe i nadedniem, nakazawszy aby mnie niebudzono, odjechała.

Tak się ta moja awantura nieszczęśliwa z tą Józką szaloną skończyła, której oby mi nie zaliczono w rachunku grzechów méj młodości, bom więcej był wciągnięty mimo woli, niż sam występny.

Abszyt na wieki wieków dostawszy na kartularzu, iż więcéj już ani jéj widziéć nie mam, ani szukać, ani pytać o nią, ani się troszczyć, gdyż wszystkoby to nadaremném było — nie pozostawało mi tylko powracać do Warszawy po dwu tygodniach niebytności.

Tu teraz z zimną krwią dopiero rozważając co mnie tam czekało, jaki wstyd, ile kłopotów, jak się tam tłómaczyć, co mówić? co Włosowski myśli? co strażnikowa? co Szarakowski? jak sobie tam radę dał Jarmużka i moje konie—potem się zimnym oblewałem.

Dopóki ta szalona była ze mną, umiała zahukać, wyśmiać, nie dać myśleć o niczém i nie dbać na nic: teraz dopiero spadło na mnie brzemie całe.

A nuż Szarakowski, dowiedziawszy się o wszystkim, napisał do starościny Motuńskieój, że ja nagle znikłem z horyzontu i przepadłem bez wieści.

Jeszczem po izbie w oberży chodził wielkimi krokami, palce sobie wyłamując i włosy targając, gdy służąca nagle wpadła, niosąc gazetę ks. Łuskiń, którą codzień z pocztą przywozili, i cisnęła mi ją na stół.

A mnie się tak czytać chciało jak tańcować. Ale żem nie wiedział co robić, wziąłem ją do ręki

machinalnie, obracając na wszystkie strony. Jedną razą padły oczy moje na te ogłoszenia, co to je drukują w końcu, gdzie i pigulki anonują i ludzi zbiegłych i kamienice na sprzedaż i co komu do głowy przyjdzie.

Kiedy poczną czytać, aż tam stoi: -

„Obywatel ze wsi przybyły do Warszawy, zaczęj rodziny, posesionatus, człowiek stateczny, zamożny, wyszedłszy die... septembris z kwatery swój pod Orlem białym, wrzekomo dla przechadzki o mroku, od téj pory już więcej widzianym nie był.

Odzież wychodząc na sobie miał: kontusz ciemny tabaczkowy, obszywany sznurkami, żupan oliwkowy, pas lekki siatkowy, buty zielonkawe, szablę w jaszczur oprawną i t. d.”

Następowało opisanie mej twarzy z wymienieniem brodawki, trochę z pod wąsów widnej! kończyło się zaś:

„Ktobykolwiek wiedział o tym obywatelu żywym lub umarłym, gdyż kryminału jest suspicya, donieść zechce do mecenasa Telesfora Szarakowskiego, przy ulicy Wałowej domu mającego.

Otóż masz!—zawolałem—już mnie i listami gończeniu, jak zloczyńcę ścigają. Otóż tobie kara! oto infamia! Razem ze zbiegłymi poddanymi i kozakiem księcia co szkatułę ukradł, stać w ga-

zecie i tak jeszcze opisanemu, że lada kto palcem pokazać może: *hic est!*

Malom się nie spalił ze wstydu.

Już tedy tu w Kozienicach dłużej chwili jednej trwać nie mogąc ani chcąc, wnet rachunek w oberży słony zapłaciwszy, poleciałem na pocztę.

Szcześnie dla mnie znalazł się ksiądz z okolicy, który do Warszawy pilno wezwany do konsystorza, musiał pocztowe konie brać i najciśniej je na spół, za com Bogu dziękował.

Na księdzu tym coś także musiało ciążyć, gdyż mówić nie chciał i siedział namarszczony, a ze mnie słowa wyciągnąćby nikt nie zdołał, tak skonfundowany jechałem infamią tego listu gończego.

Przeklinałem dzień i godzinę gdyś się dał ściągnąć do Saskiego ogrodu, a potem gorzej, do tych Kozienic przeklętych, gdzieś dwa tygodnie przebył, nie policzywszy się z dniami w grzeszném zapomnieniu o świecie całym.

Gdyś nareszcie ujrzał miasto, i zbliżył się do niego, porwała mnie drżączka taka, żeś myślał wprost do Jasieńca już jechać, nie pokazując oczów nikomu.

I tegom wszakże uczynić nie mógł: trzeba było wypić ten kielich goryczy do dna. Całą drogę

mysząc co mówić będę, nie znalazłem konceptu żadnego. Kłamać musiałem aby zgorszenia nie czynić i oto mnie niedołęztwo moje postawiło w téj ostateczności, żem unikając jednego grzechu, w drugi wpaść koniecznie musiał.

Albo się do sprośności przyznać, albo kłamać. Tak mi to szatan przyprowadził zręcznie, abym z siebie jego nie uszedł.

Gdy mnie ksiądz wysadził przed Orlem, a tu mnie slugus tutejszy, Jędrek imię mu było, postrzegł, zrobił larum, że się aż do kuchtów zbiegli wszyscy.

Poczęło się wołanie:

— A otóż jest: żyw, nie zabito go! a oto jest! Jan stał jak słup: szarpano mnie za ręce.

— Gdzież pan bywał? co panu się stało?

Ze wstydu złość mnie porwała.

— Cóżto ja mam się tłumaczyć!—krzyknąłem—a kto ma prawo mnie tu słuchać rachunku! Gdziem był tom był! Przecie wolny jestem człek, szlachcie i czynię co mi się podoba!

Krzyknąłem—Gdzie mój służka?

A tu się okazało, że moją stancję, wyprzątnąwszy z niej rzeczy, komu innemu dano, że Szarakowski wziął Jarmużkę i tłumoki.

Natychmiast kazałem sobie inną izbę otworzyć, rezonem nadrabiając, choć duszę miałem w piętach. Poslałem po rzeczy i Jarmużkę.

Ten i ów pytać mnie chciał: odprawilem zły gdzie pieprz rośnie. Jak zobaczyli że się sierdzą, pokój mi dali.

Chodziłem po owój izbie z godzinę, gdy nareszcie głos Jarmużki na wschodach posłyszał; ale zamiast niego, pokazał się w progu jak sędzia straszny, ów Szarakowski, który mnie zawsze intymidował swoją pańską figurą i obejściem się ni by magnat wielki, choć wiedziałem dobrze, iż ojciec mieszczaninem był w Łukowie.

Zjawił się, niby inkwirent wprost do mnie.

— Gdzieżeś to asindziej bywał? godziłoż się nas takim strachem nabawiać: gdzieżeś to bywał? na Boga!

Mówiąc to, patrzył mi tak surowo w oczy, że mi się zmieszał: ano puściwszy się raz drogą fałszu, nie było co się wahać, rzekłem mu kwaśno:

— Co za dziw! wypadł mi interes: musiałem do domu na parę dni.

Nie postrzegłem się, że mi łgnął, jako to nieprzyzwyczajony, bardzo niezręcznie: Szarakowski ramionami i głową zaczął poruszać.

— Co? gdzie? jak? ależ nie mnie to asindziej przynajmniej mów? Wiemy przecież, że go w Jasieńcu nie było.

Musiałem tę gorzką pigułkę połknąć i odzwalałem się ciszej:

— Już gdzieś był tam był, co się stało, to się stało, a choćby i źle, na to niema rady.

— Że źle, niewątpliwa rzecz—odparł stękając Szarakowski—całe miasto o tém gada, posądzono ludzi niewinnych. Strzęsiono wszystkie kąty, fabulą się asindziej stałeś, i głowy sobie łamano, kto i dlaczego kryminal na nim popelnił.

Cóż teraz rzeczesz, aby to wytłómaczyć?

Gdy ja już milezał, bom się do kłamstwa pierwszego przyznać nie chciał, a na drngie mi wątku nie stawało, począł Szarakowski powoli, z politowaniem mi się przyglądając:

— Mówże asindziej, jeśli prawdy nie możesz, coś do niej podobniejszego; na przykład, żeś nogę wywichnął i w Grochowie lub tam gdzie w pobliżu chory leżał... a nie było kogo posyłać.

Młodość ma swe wybryki—dodał—ale starościna mi w liście pisała, żeś asindziej właśnie za mało miał determinacy i byłeś aż do zbytku statecznym. Zkądże nagle taki skok?

Nie chciałem się tłumaczyć, spuściłem oczy. Szarakowski podumał i spytał mnie:

— Masz acindziej pieniądze, czy odarto go do grosza?

— Pieniądze mam—odparłem—jeśli co stracił to niewiele.

— A cóż dalej?—zapytał Szarakowski.

Samem nie wiedział, więc odpowiadać nie mogłem.

— Namysł się acindziej—mówił dalej.—Pieniędzy od Teppera nie odebrałeś ostatnich asygnowanych, zatém biędzy niéma. Czekam co mi zwiastować będziesz, bo do starościны napisać muszę, że syn marnotrawny się znalazł.

I uśmiechnąwszy się a skłoniwszy mi wyszedł.

Musiało tegoż wieczora gruchnąć to po mieście, że się ścigany listem gończym obywatel w oliwkowym żupanie znalazł, a jakto w mieściszkach plotki lubią, i aby co na zoby wziąć, ciekawość więc ogromna była, co mnie za przygoda spotkała.

Jam sobie słowo dał, że pokryję głupstwo uczynione milczeniem, gdy, dzięki Bogu, nikt prawdziwej przyczyny absencyi mojej nie wiedział.

Jarmużka, który mnie płacząc za kolana ścisnął i po nogach całował, opowiadając jak tu mnie

już morzono, a byli i tacy co przysięgali, że trupa mojego widzieli, chciał mi zgłodniałemu jedzenie przynieść do izby, alem pomyślał, że lepićj przebojem iść, nie wstydząc się, na dół samemu zejść i w oczy ludziom patrzeć śmiało. Juściżem kryminału nie popełnił, a jeśli grzech, to taki, że zań tylko przed samym Bogiem mam odpowiadać.

Nigdy w sobie takićj fantazyi nie czuł, jak ono tego wieczora: wziąłem na kiel. Co mi tam! pal ich kaczk! niech plotą co chcą!

I jakim stał spuścilem się do jadalni, gdzie pewnie o mnie mówić musiano, bo gdym szedł, a pokazał się, jak mak siał.

Cisza się zrobiła wielka.

Ten i ów zdala mnie pozdrowił, bo byli tacy, których tu wprzód widywałem i popoznawałem się z nimi.

Siadłem na uboczu, kazawszy podać jeść i na humor wina butelkę. Ten i ów zaczęli się przysuwać do mnie, a choć ich piekło, badać nikt nie śmiał.

Wtém gdy ja tak siedzę, a piekę się, prawdę rzekłszy, jak św. Wawrzyniec na rósze, wsuwa się mój Włosowski, bo już na ulicy ktoś mu szepnął, że się zguba znalazła, i wprost kroczy ku mnie z rozstawionemi rękami.

Gębę miał otwartą, bo chciał mnie powitać jakąś eksklamacją, ale wczas mu dalem znak; zrozumiał i pocichu się zenną przywitawszy, odciągnął do drugieój idebki, gdzie nikogo nie było.

Spojrzał na mnie bystro.

— Proszę mnie nie badać — rzekłem uprzedzając go — przypadek miałem, o którym mówić nie chcę; więc co się stało, stało się.

Jak interes mój stoi?

— A jakże chcesz by on stał — zawołał Włosowski — nie stoi on ale padł i leży, ani go już dziś podnieść. Był na najlepszej stopie, pieniądze kosztował huk: nagle gdy was niestało, gdy wszystko się zachwiało, czyś żyw czy zabity, a niepewność trwała dni czternaście, wszelkie moje starania, biegania, zachody, poszły marnie.

Sameś sobie winien, kochany podczaszycu! Ja dziś przez ciebie skompromitowany, mogę powiedzieć na tortury wzięty, umyję ręce, *oleum perdidit!*

Rozstawił ręce szeroko.

— Tyle pieniędzy jak w wodę rzuconych — dodał — a niedość na tém, jam właśnie tego dnia, gdy waszmości niestało, ręczył za niego honorem moim i pożyczyłem obrączkowych dwadzieścia. Je-

żeli tych nie zapłacisz, postawisz mnie w smutnej alternatywie.

Nie dałem mu kończyć, zaręczając, iż płacę, aby o tém mowy nie było. Zaraz mu twarz pojaśniała, ścisnął mnie czule i rzekł pocichu:

— Co to było? przyznaj się! przed przyjacielem.

— Chorowałem—rzekłem, w czem nie wiele sklamalem, bo takie szaleństwo najgorszą chorobą.

Włosowski mi popatrzył w oczy i zawrócił do jadalni, gdzie mu wieszczę dać kazalem i sam do niej siadłem.

Goście sądząc po mnie, iż musiałem tajemnicę moją wyznać Włosowskiemu, odwolywali go od stolika, dowiadując się, ale nie wiem już czém się od nich wykręcał.

Pod koniec wieszczę spytałem go, czy starania o starostwo na nowo zawiązać nie można; cmoкнуął na to i rzekł:

— Niepodobnego dla mnie niéma nie, ale wydatki byłyby wielkie, a to co z woza spadło, liczyć za przepadłe potrzeba; więc nie radzę, a raczej odradzam.

Wziąłem rzecz do namysłu.

Chodziło mi po głowie różnie: i tak i siak. Raz żeby wszystko porzuciwszy, plunąć i do domu wracać; to znów, aby na upartego dalej iść z temi stu dukatami, ino z niemi daleko zajść nie było nadziei, bo zaraz nazajutrz trzeba je było wyszczerbić, rachunki płacąc.

Najbardziej byłem ciekawy, co się ze strażnikową dzieje, i bałem się do niej pokazać nosa. Klamać przed nią było trudno, spodziewać się przebaczenia, znając charakter, nie mogłem... Myślałem, gdybym gdzie francuza spotkał, jego posłać na zwiady; lecz że mi był dłużny, małom mógł rachować, że go pochwycę.

Ze znużenia, choć strapiony wielce i niepewien losu mego, położywszy się zasnąłem.

Zwykłem się budzić był zawsze, gdy po kociolach na jutrznią sygnują, ale tą razą pewniebym wotywy nie zastał nigdzie, takem chrapał.

Zerwałem się żywo, bo mi chłopca wstyd było, a odziawszy się naprawdę, dalej nie wiedziałem co robić do obiadu.

Wtem Włosowski wszedł, dowiadując się o zdrowie moje, a w istocie po owe dwadzieścia dukatów, za które zaręczył. Właśnie po nie do Tepperów miał iść, dobrze że mi przypomniał. Ofiarował mi się towarzyszyć.

Uważałem, że gdym z pod Orła wychodził, ludzi dużo stało i patrzyło na mnie, ciekawie mi się przyglądając; pokazywano mnie palcami: stałem się w istocie fabułą całego świata.

Wstyd mi było okrutnie: przyśpieszyłem kroku. U Tepperów dziwnie mi się przyglądano: jeden młody, podobno syn, czyli też zięć bankiera, chciał mnie badać, alem zamruczał coś niewyraźnie i dał mi pokój.

Włosowski w drodze insynuował mi, że z rana z osobami wpływowemi mówił w sprawie tego starostwa, a robiono mu nadzieję, bo jeszcze oddane nie było.

— Szczęście twoje, panie podczaszycu—dodał—gdzie się dwóch o co spiera, trzeci najczęściej bierze. Dwu jest kompetytorów, oprócz wacpana, Pokrzywnicki i Zamulański: któż wie?

Musiałem się z kieszenią rachować, bo że już starościna mi więcej sukcesować nie mogła, nie ulegało wątpliwości. Powoli się wlokąc zdążyliśmy pod Orła, a pocziwy Włosowski przez kómmizeracyę mi towarzyszył. Zdala już postrzegłem stojącego we drzwiach Jarmużkę, który w ręku papier jakiś dusił.

Podał mi go; domyśliłem się od kogo był, choć jójmość nigdy do mnie nie pisywała: krew

mi palnęła na czoło. Szedłem na bok czytać. Fraszka było decyfrofać list starościnój, przy charakterze strażnikowój. Grzebała jak kura, i połowy wyrazów w żaden żywy sposób wyczytać nie mogłem; tylem się dowiedział, że powinienem się był stawić, a zwała mnie niewdzięcznikiem i przecherą.

Na obiad jako żywo, ani mi wypadalo, ani się chciało iść; pomyślałem, kiedy mam tam jak na ścięcie ruszać, to podjadłszy i napiwszy się, bo człowiek zawsze na czcze serce najumińej rezonu ma.

Poszliśmy więc jeść, a tu mnie Włosowski *ex re* tego listu zagadnął, iż wie, bo to się po zniknięciu mojem rozbębniło po mieście, że o strażnikową się starał.

— A znasz ją asindziej?—spytałem.

— Znać ja nie potrzebuje—rzekł—a wiedzieć wiem całe jój *curriculum vitae* od dzieciństwa.

— Więc cóż mówisz?—dodałem.

— Co mam mówić... co komu do smaku, do temperamentu i do humoru—począł.—Strażnikowa jeszcze świeżo wygląda, wesola, przyjemna, rezolutna; z nią się człek nie znudzi, a przyjaciół w domu będzie huk! Gdyby nie było o co, nie starałoby się o nią ludzi tylu... Prawda, że substancja niezbyt wielka, ale i dożywocie coś znaczy;

bo jéjmość zdrowa: lepić się na tém dorabiać, niż na ładajakiéj dzierżawie.

Zamilkł nieco.

— Gdybym wiedział był, że asindziej masz ożenienie na myśli, jabym inn téż może co swatał. Znalazłoby się... Wdów i rozwódek aspirujących do ołtarza jest teraz dosyć: wybór tylko trudny.

Na tém się rozmowa skończyła. Włosowski wpadłszy na kobiety, zabawiał inuie anegdotkami i historyjami różnemi, które mu się sypały jak z rękawa. Podpiliśmy trochę i wprost od stołu poszedłem do strażnikowej.

Żeby wóczas wiedział co i jak jéj powiem, jak się będę tłómaczył, nie ręcę. Spuszczałem się na ewenta, na losy, z góry będąc przygotowany na odprawę i burę. Gdy wchodził, serce mi mocno kołatać zaczęło; przypominały się owe chwile jakie tu spędzałem, i afekt jaki mi okazywała. W sumieniu nie czułem się czystym.

Służący mi powiedział, że pani sama była i zaraz mnie wprowadził do niej.

Wybiegła z drugiego pokoju na moje spotkanie, z twarzą zarumienioną, nie mogąc nic mówić tak była poruszona. Dopiero gdy służący precz szedł, zawołała:

— A toż się spisał ślicznie!

Milczałem.

— No, mów, wszakżem widziała, z jakąś dziewczyną cię lichy poniosło. Jest komu świat gubić! Ty! Któżby się to był spodziewał. A ni-
by stateczny! a niby trusia! Dwa tygodnie bez
wieści: wiesz co, wiesz co, na każdą inną, toby ci
swojego progu nie dała przestąpić!

Mówiła prędko, żywo, coraz się unosząc, i nie
dając mi się odezwać, czemnim ja i rad był, bo nie
miałem co mówić.

Gdy zamilkła, czekając ekskuzy, rzekłem:

— Nie winienem: proszę mi wierzyć, że po-
zory są przeciw mnie, a jam, nie winien.

Na to głową pokręciła.

— Patrzajcie go, jaki furfant? Cóżto, dziew-
czynka jesteś, porwano cię siłą, mocą! Bięda-
czątko! jaki mi to trusia! Nie winien!!

I złożoną pięść przyłożyła mi prawie pod nos.

— Paskudnik jakiś! łajdaczyzna! wisus! Tu
się do mnie zaleca na dobre, ale za lada blaźnicą
leci i dwa tygodnie go niéma, dwa tygodnie.

— Chorym był — rzekłem, przypomniawszy
radę Szarakowskiego — nogęm zwichnął.

— Gadaj to komu chcesz — przerwała. — Było
napisać, toćbym z doktorem i felczerelem przyje-
chała, boś acan mnie w oczach całego świata

skompromitował... Myślisz że ja cię teraz puszcze tak!! Siedziałeś tu, gospodarowałeś u mnie, bracia moi wiedzieli że się zalecasz, gadali o tém wszyscy, odprawiłam kilku dla niego, a teraz myślisz, że to tak ci ujdzie na sucho.

Stałem jak delikwent.

Zaczęła jakoś łagodnieć.

— Ja teraz waćpana sama już nie chcę—dodała—za takiego balamnta iść nie mogę, ale nie ty mnie dasz odprawę, ale ja tobie.

Przynajmniej wstydną uniknę.

Zaczęli już mówić, żeś odemnie uciekł. Złości mnie brały. . Niedoczekanie wasze...

Tak, ja dam asanu odprawę: ja.

Zwróciła się do mnie tedy.

— Ze mną żartów niéma: jutro żebyś mi był na swojem miejscu u stołu, jakby nic nie zaszło. Gdy ludzie będą widzieli, żeś ty mną nie pogardził, natenczas ja, ja sama ci odprawę dam...

Chciałem ją pocałować w rękę, ale mi jej nie dała.

— Jeszcześ po tamtej gęby nie otarł, a jużbyś chciał tu balamucić. Daj mi pokój.

I tak niby się ona gniewała, a prawdę powiedziawszy, nie czuć było w niej gniewu: zdawało się że śmiech w sobie dusi. Kto kobietę kiedy zrozumie?

Chciała mnie badać, cisnęła, abym się spowiadał ze wszystkiego: nie dałem się. Salwowałem się milczeniem, mruczeniem, negowaniem. Com chciał odchodzić, to mnie zatrzymywała; czapkę mi kilka razy wyrwała z rąk: połajala. Kazała zostać do wieczery, i tak się ściągnęło, że dopiero nocą do domu wrócił, dawszy jej słowo, że nazajutrz do stołu przybędę jak dawniej.

Wymówilem sobie to tylko, że mnie nikt badać, prześladować i docinać mi nie będzie, bo inaczej do Jasieńca gotowem drapnąć.

A byłbym może najrozumniej uczynił, gdybym postanowienie to do skutku przyprowadził.

Nazajutrz Włosowski znowu nadzieję starostwa uczynił, a ja do starościńcy list, trzy po trzy napisawszy, nie nie mówiący o tem co zaszło, dalej brnąłem starym szlakiem.

Szarakowski na chwilę wpadł tego dnia i wysłuchał com mu powiedział, ruszając ramionami: pośmiał się i poszedł.

Ciągle mnie to jeszcze oprymowało, że gdzien się obrócił, ludzkie oczy mi pokoju nie dawały. Powiadał Włosowski, iż o mnie bajki komponowano najdziwniejsze: głosili jedni, że przez jakąś jejmość w masce zostałem porwany, że mi oczy zawiązano, zawieziono gdzieś i trzymano; drudzy

utrzymywali, że małoletnią dziedziczkę porwał, którą mi familia odebrała, nim ślub czas wziąć miałem.

A ponieważ jam nie mówić nie chciał i tajemnicę utrzymywałem, komponowano tém mocniej na rachunek mój a coraz dziwaczniejsze androny.

Uważałem, że w oberży ludzie się do mnie zbliżali i prezentowali się, widocznie w chęci wybadania. Włosowski utrzymywał, iż tajemnicza awantura moja doszła była nawet na Zamek i do Łazienek i że się tam na nią ciekawiono i nią zabawiano.

Znowu się tak rzeczy ułożyły, iż na wieczerczę z raportami Włosowski obiecał przychodzić.

Gdy do strażnikowój o swój godzinie się stawił, przyjęła mnie jakby nie nie zaszło, głośno opowiadając innym gościom, że dla pilnej sprawy do Jasienica zbiedz musiałem. Zająłem miejsce moje w końcu stołu i gospodarzyłem po staremu.

Sama pani nie dała mi tego czuć, że zawinił względem niej. Po obiedzie chciałem zaraz odchodzić, gdy dała mi znak żebym został. Przez wdzięczność, iż mnie nie prześladowała, posłusznym byłem.

Jeszcze mi raz i drugi powtórzywszy, abym regularnie przychodził i że to dla jej dobrej sławy

i repntacyi potrzebném było, dopóki ona sama mi nie da odprawy, z tém mi odejść dozwoliła; chociaż mówiąc o tém, uśmiewała się jakby tego zażądała, bym ją o przebaczenie prosił.

Wychodząc z kamienicy od niej, naprzeciw spostrzegłem stojącego jakby na czatach Włosowskiego z drugim jegomością, bardzo wykwiutnie po francuzku ubranym, który jak mnie ujrzał tylko, podszedł śpiesznym krokiem i począł od tego, że mnie zaprezentował towarzyszowi.

Był to jakiś hrabia Thomatis.

Ten impetycznie dosyć i z pańską presumpcyą pochwycił mnie zaraz pod rękę.

— O waćpann cała Warszawa gada—rzekł—jesteś bohaterem jakiejś awantury, której wszyscy są niezmiernie ciekawi: kobiety nadewszystko... Zróbże mi tę grzeczność, dalem słowo, że waćpana na wieczercę do nas przyprowadzę: nie odmawiaj mi.

Waćpan tu jesteś lwem, i ja go mieć muszę.

Chciałem się wymawiać.

— Bez żadnej ekskuzy—dodał—ekwipaż mój o trzy kroki czeka: siadamy i jedziemy. Nie będziesz się asindziej uskarżał na mnie, najpiękniejsze w Warszawie zobaczysz u nas... towarzystwo dystygowane...

Obronić mu się nie było podobna.

Włosowski mrugał na mnie i podszeptował, że to do interesu pomoże, abym jechał koniecznie.

Tak tedy *insperate raptus* przez owego hrabiego, całego świecącego od brylantów i łańcuchów, od pierścieni i guzów złocistych, znalazłem się w chwilę potem w sali palacu jakiegoś, wśród kompanii, jakiej i na obrazie nawet nigdy nie oglądałem.

Kołem siedziały panie, wszystkie młode i piękne, bo przynajmniej takimi zdała mi się wydały, postrojone z przepychem, woniejące jak łąka świeżo skoszona...

A tu ich oczy, ile było, na mnie się zaraz zwróciły... tak, iż zostałem skonfundowany.

Sama jéjmość, której mnie hrabia prezentował, a którą w rękę pocałowałem, boginią mi się wydała z nadzwyczajnej piękności: oczyma zmrużonemi, usteczkami zesnurowanemi przyjęła mnie. Męskie towarzystwo: kilku senatorów, orderowych panów, młodzieży elegantów, kręcili się około dam.

Mnie gdy tu ów Thomatis rzucił jako łódkę na fale bez żaglu i wiosła, struchlałem co poczną.

Gdziem spojrzał, oczy na siebie zwrócone znajdowałem. Włosowski jak kamfora zniknął.

Hrabia Thomatis téż oddawszy mnie kobietom, wybiegł do drugiej sali. Obstępowano mnie dookoła: wysliznąć się nie było sposobn. Już mi o sobie rozpaczać przyszło, gdy raptem jedna niemłoda osoba, ale bogato jak cudowny obraz ubrylantowana, siedząca niedaleko, palcem na mnie kiwnęła.

Szedłem tedy ku niej. Naprzód mnie od stóp do głów zmierzyla oczyma.

— Hm? Jasieniecki? — zapytała — słyszę starościnęj Motuńskiej siostrzeniec? tak?

— Tak, pani dobrodziejko — rzekłem.

— Nazywaj mnie acan wojewodzina, bo mi się ten tytuł należy. A ja Motuńską znam, hm! nieprawda! dobra kobieta ale kozak?

Uśmiechnęła się.

— No, słuchajże — dodała — co to tam o was prawia? awanturęś jakąś miał? Gadaj a prawdę!

— Nie miałem żadnej — odparłem — i gdybym chciał, nie mam co powiedzieć...

Skrzywila się wojewodzina, popatrzała na mnie: odwróciła się do sąsiadki i coś jej powiedziała po francuzku, w którym języku ja, że mocny nie jestem, nie zrozumiałem co mówiły, tylko zdało mi się, że się śmiały ze mnie.

Wojewodzina mnie porzuciła, ale tu siedząca pani średnich lat, która niegdyś piękna być musiała, poczęła o obojętnych rzeczach rozmowę ze mną i zatrzymała przy sobie, bardzo mi się przyglądając.

Była może trochę starszą od strażnikowej, białą i delikatną, a oczy niebieskie, bardzo wyraziste, tak śmiało zwracała jak i tańta.

Z konwersacyi dowiedziałem się, że miała tytuł podstoliny, że wdowę czy rozwódką była, że posiadała dobra na Podolu, i że niewiele osób u niej bywało; ale gdybym sobie życzył u niej kiedy wieczór spędzić, radaby mi była, za co podziękowałem.

— Pamiętajże waćpan, przyjdź, proszę—dodała.

A że zaproszeniu wejrzenie bardzo zachęcająco towarzyszyło, powiedziałem sobie: kto wie co z tego być może, jak strażnikowa da mi odprawę.

Potém już inne panie próbowały mnie na spytaki brać, a że miałem czas przyjść do siebie i nabrać męztwa, oganiałem się jak mogłem pytaniami, do czego nie przyznając. Młode i starsze przysuwały się, egzaminowały i uważałem, że więcej mojej osoby niż przygody zdawały się być ciekawe.

O ile zmiarkować mogłem, musiał je zawód spotkać, bo się pewnie spodziewały w bohaterze awantury coś osobliwszego odemnie.

Słyszałem, gdy poza mną dwie pociechy mówiły:

— Jużci tam coś w nim musi być, kiedy pasyą taką potrafił obudzić.

Mężczyźni, którzy nie grali, bo większa część w drngiej sali była około stolika, z ogromną kupą złota w pośrodku, gdzie sam ów Thomatis ciągnął, zaczepiali mnie także.

Rozglądałem się po salonach, bo w nich pełno było rarytynych osobliwości do widzenia z marmurów, ze złota i z malowideł, aż do wieszery. Tu mi się dostało nie bez konniwencyi samój owój podstoliny z niebieskimi oczyma, że mnie przy niej posadzono. Jak opanowała mnie od pierwszego dania, tak aż do wyjścia służyć i rękę jej podać musiałem.

Nie inaczej, tylko że od innych musiała ciekawszą być.

A gdy się rozjeżdżać zaczęły panie, skinęła na mnie, żebym znowu prowadził ją, i wzięwszy do powozu wiozła z sobą aż pod Orla, gdzie mnie wysadziła. Dowód był laski nadzwyczajnój, bo i odchodzącego, gdym ją w rękę całował, ścisnęła za palec.

— Przychodźże wieczorem.

Prawda, nie była pierwszój młodości, jednakże piękna całe i takiego coś pańskiego w sobie miała do adorowania. Tedy powiedzieć mogę, że mnie szczęście spotkało. Niebardzo ja w nie ufał, wszelako czyniło to pewną satysfakcyą.

A tu księdzu kanonikowi wyznać muszę, że gdy do rachunku sumienia mojego przystępowałem, znajdowałem się tym pobytam w owój Kapui warszawskiej strasznie zmieniony i zepsuty. Chociaż głęb serca pozostał czysty, bom się modlił, kajał i do kościoła regularnie uczęszczał, we dnie się nie tylko grzeszyło, ale grzeszyło z apetytem i fantazyą okrutną.

Jużem był na tym punkcie, że po awanturze z Józką, gdy i strażnikowa okazywała pewien sentyment, a tu podstolina téż do karety swój sadziła i przychodzić kazala, tak wzbiły w dumę, żem sobie myślał: mniejsza o starostwo, gdy mogę się lada dzień ożenić, a po jednej czy drugiej jójmości nabrać majętności i stać się sobie panem bez pracy i mozolu.

Z tego poszło, żem téż do zwierciadła zaglądał, codziennie się golił, włosy olejem jakimś pachnącym maścił, i suknie sobie nową modą częścią porobić nowe, częścią poprzerać kazalem, co

téż kosztowało sporo, bo w mieście zaczepić tylko o rachunki, mnieją go wyciągnąć jak szewc skórę i z barana woln zrobić.

Tak mnie on zły duch powoli opętywać zaczynał.

Nazajutrz do strażników na obiad poszedłszy, śmielej sobie poczynalem, myśląc: nie będzie ta, będzie druga, a musiała jejność poznać zemnie, iż sobie z łaski jej mniej ważę, bo sama tego dnia poczęła znówu serdeczną bardzo być, już mi mojej głupiej nieczki nie wypominając.

Wśród dnia mnie wychodzącego od strażników, w nlicy ulapił ten pocziwy Włosowski, którego ja u Thomatisów później szukając, nigdzie zobaczyć ni odkryć nie mógł.

Cóż się to z asindziejem stało?—zapytałem widząc go—weszliśmy wczoraj, bodaj razem do tych Thomatisów, a asindziej jak w wodę wpadłeś i u wieczerzy go nie było!

— Bylem, tylkoście mnie nie postrzegli—odparł Włosowski—choć na przód się nie wyrwałem, bo tego nie lubię, a jako poufały w tym domu ze starszymi na uboczu konwersacją się zabawiałem; najlepszym dowodem, że tam był i widział wszystko, jest to, że dziś waszmości szukam

jako przyjaciel jego, chcąc mi służyć informacjami, które zbytercznemi nie będą.

— *Ex re* czego? — spytałem.

— Naprzód co do hr. Thomatisa — począł — którego żona, gdyby chciała, wiele może i nawet u króla ucho ma, choć nie tak już jak dawniej, zatem notuj to sobie asindziej; wtóra okoliczność ta jest, iż podstolina, słynna niegdy także pięknosc, a i dziś jeszcze kobieta całę przystojna i wielkich parenteli, rzuciła na acindzieja oczkiem życzliwém. Nieprawdaż?

Rozśmiałem się. potwierdzając.

— Otóż — mówił dalej Włosowski, prowadząc mnie — zawsze człek powinien wiedzieć, co na talerzu ma przed sobą i z kim zawiera konfidencyą. Potrawa, choćby najsmaczniejsza, gdy dyabel wieć co to jest, ni se bigos ni se flaki, strzedz się jęj trzeba; kobięę tóż gdy się z nią przyjaźń zawiązuje, dobrze znać zkąd pochodzi, kto ją rodzi *et caetera*.

Widzisz acindziej, z tą informacyą śpieszę doń i służę mu.

— Ostrożność to nad miarę, ale dowód szacownej przyjaźni waszej — rzekłem — która mnie dlań wielce zobowiązuje. Niéma jeszcze nic i *probabiliter* nie nie będzie.

— Hm!—odparł Włosowski—kobiety w tym wieku jak strażnikowa i podstolina najniebezpieczniejsze są. Człek sobie jeszcze mówi: nie, nie, a w istocie z tego nie, może być rydz.

I śmiał się poczeiwy starowina a jam mu pomagał.

— Cóż tedy ta podstolina? — spytałem go.

— A no, naprzód mi powiedz, czy chcesz prawdy prawdziwej, nagić, czy z kondymentem?

— Taka się na nie nie zda—odpowiedziałem.

— Więc prawdą jest. *primo*, że podstolina z wysokiej familii kniaziowskiej na Rusi pochodzi. *Primo voto* była poszła młodzinsieńko za P... z którym niedługo żyła, a ten jój znaczne dobra zapisał. Drugie tedy małżeństwo za S... łatwiej przyszło jój. Z tym dwu synów miała. Zaszły nieporozumienia między małżeństwem, iż się rozeszło, a małżonek też umarł. Za mąż potem nie idąc, dno podróżując, sekretarzów zawsze w rodzinach miewając, dożyła pani ta lat swych dzisiejszych, a mówią, że wydalaby się chętnie, choćby za ubogiego szlachcica.

Lecz sęk jest: synom dorosłym a butnym, jójmościne małżeństwo nie na rękę; opędzają, odgrazając się na konkurentów, i gdyby co do czego przychodziło, z szablą w ręku zdobywać ją przyjdzie.

Prawda, że dobra piękne, dostatek wielki, srebra starożytne wspaniałe, ochędóstwo wszelkie, karety, wózniki tureckie i państwo całą gębą.

Przytém i to nie tajna, że niegdy w intermedjach królewskich amatorów i ona swą chwałę miała, a że niewierności N. Panu za złe nie wzięła, zachowała przyjaźń, z pomocą której wiele może. Więc i starostwo to albo inne, ledwie jeden dyg kosztować ją będzie.

I dlatego pono ona tu w Warszawie siedzi, by pod bokiem króla a protektora i pani krakowskiej, która ją lubi, od synowskich napaści była wolną.

Gdy mi tak Włosowski relacyą zdawał, zadumałem się mocno. Ledwie z jednéj strony uwolniwszy się od Szelażków, z drugiejj na podstoliców wpaść nie było mi przyjemnie. Podziękowawszy więc Włosowskiemu za jego ku mnie troskliwość, a postanawiając ostrożnym być, szedłem tego wieczora do podstoliny.

Mieszkała ona we własnym pałacu, i znać zaraz było, że jest wielką panią. Strażnikowéj dom i czeladź przy téj, mizernemi się mi wydały.

Kompanią zastałem liczną: po większéj części ludzi niemlodych, ale wszystkich z tytułami i orderami, położonych wysoko, między którymi ja

czułem się bardzo małą figurą. Przecie zacierać się niedając, głowem do góry zadzierał jako mogłem. Podstolina rękę mi dawszy do pocałowania, gdy jój dwie rezydentki resztę gości zabawiały, posadziła mnie przy sobie, i nie zważając, jak to się komu wyda, okazywała mi wiele przyjaźni.

W słowach nie było tam nic, coby mi do myślenia dawać mogło, ale owe oczy blado niebieskie trzymała wpojone we mnie, im zwierzywszy, co mi miały mówić i zapewnić o tém.

Zatrzymała mnie na wieczercę, a gdy niektórzy ze starszych gości porozchodzili się, okazywała mi apartamenta swe i pałacowe wspaniałości, którym wydziwić się nie mogłem, tak przepelnione je znalazłem wszelkimi drogiemi sprzęty, z Włoch i Francyi posprowadzanemi, co srogie summy kosztować musiało.

Wyszedłem tedy rozmarzony i wielce niepewny co mam czynić dalej. Na bucie nie zbywało mi.

Nocą, gdym i to co mi Włosowski mówił i com sam wiedział, kombinować począł, rozważać, ważyć, przyszedłem do téj roztropnój konwiktkeyi, że podstoline progi na moje szlacheckie stopy wysokie są, i że drapiąc się na te wyżyny, nosa stłuc łatwiej niż czego dostać: zatém aby jakąś korzyść wyciągnąć z téj znajomości, a wypróbo-

wać panią podstolinę, najlepiej mi zdalo się prosić ją naprzód o protekę na starostwo moje siedliskie.

Gdyż potem nie opuszczając strażnikowej, zasiadł do stołu nazajutrz, zagadnęła mnie przy wszystkich na głos o podstolinę.

I cisnęła na mnie wzrokiem takim, że i kamieńby cięższy nie był. Nie zmieszawszy się weale, powiedziałem otwarcie, jak mnie hr. Thomatis porwał, do siebie zaprowadził, i jak znajomość z podstoliną uczyniłem, nie okazując, ażebym do niej przywiązywał wagę.

— Ta stara balamutka synów dorosłych ma, i coby koronkę miała za dawne grzechy odmawiać, radaby ich jeszcze przymnożyć—rzekła strażnikowa dosyć żwawo.

Drudzy też u stołu siedzący, anegdótkami i dykteryjkami o podstolinie wtórowali, których ja cierpliwie słuchałem.

Po stole nie odpuściła mnie strażnikowa, rzekłszy:

— Pojedziesz ze mną asindziej do teatrum.

Nie byłem od tego. Chociaż to wiem, iż widowiska tego rodzaju bywają niekiedy dla duszy niebezpieczne wielce, i pamiętałem com od stryja, dobrodzieja mojego dawniej słyshał, iż szatan nie-

ma lepszych pomocników nad tych ludzi, co sromotnie na scenie występują, a których władza duchowna na ziemi poświęconej chować zabrania: nie mogłem od teatrum stronić już z tego względu, że na niém sam król i wszyscy generalowie bywali, a nawet duchownych mi się widywać zdarzało.

Musiałem tedy atentować pani strażnikowój; lecz nimeśmy się wybrali jeszcze, zatrzymała mnie w gabinecie.

— Patrzaj ty!—odezwiała się w taki sposób, jak nigdy jeszcze, tykając mnie ostro—patrzaj ty, żebyś ty mi około podstolinój się kręcił, będzie źle!

I pięść, jak miała brzydki zwyczaj, złożywszy, podsunęła mi prawie pod nos: już mi tego było nadto.

— Moja mości dobrodziejko—odezwałem się chłodno—jeszczemci ja w niewolę się żadną nie zaplątał. Sama pani strażnikowa zapowiedziałaś mi, że mnie odprawisz. Gdybym się więc gdzieś indziej starał o lokatę, grzesznego w téni nie widzę nic, a co się tyczy podstoliny, nie myślę o niczem, tylko aby mi do starostwa tego dopomogła.

Śluchała a głową pokręcała.

— Oho! oho!—rzecze dopiero—patrzajcie-no, jakto ten prostaczek co trzech zliczyć nie umiał,

przetarł się tu i zmadrzal; jakto on rezonuje, jakie ma argumenta?! A no starościna Motuńska, co tu waści na edukacyą wyprawila, cieszyć się powinna, boś z niój skorzystał!

Ja czy odprawię waści, czy nie, to moja rzecz; tymczasem nie masz prawa sam się mi odprawiać: rozumiesz to!

Poszła się do teatrum sztafirować, a jam został sam i siadłem spocząć. Z tego tonu już jejmość brała, że musiałem nanyślać się, ażali ja jeszcze wolny jestem lub nie?

Pauna Sabina rezydująca tu, stara kuzynka jej, która rozmowę z podedrzwi słyszała, nadszedłszy ku mnie, że mi życzliwą była, szepnęła:

— Nie irytujże asindziej ustawnie strażników. Dla nikogo ona tyle serca co dla niego nie miała. O odprawie nie myśli, po co darmo sobie i jej przymnażać aflikty?

Pierwszy raz z jej słów zmiarkowawszy, jakom blisko był postradania kawalerskiej swobody mój i rozpoczęcia krzyżowej drogi małżeńskiej, mocnom się zasepił.

Ta dawna moja wrodzona trwoga, jaką mnie małżeństwo zawsze napawalo, wróciła. W jednej chwili téj, która w rzeczy bardzo była krótką, jakimś cudem, tysiące myśli przewaliło się przez gło-

wę. Jakto będzie z życiem na wsi w te długie dni, w samotności z tą dobrodziejką, oko w oko; jak przeciw jój różnym impetom ochraniać się, jak fantazyom dogadzać, jak panem nad nią nie mogąc być, ochronić się od tego, by sługą nie zostać?

Z temi myślami musiałem jój i téj pannie Sabinie do teatru towarzyszyć. Dawnom na nim nie bywał i wogóle nie wiele, bo czasu mi na to nie-stawało. Wydało mi się tego dnia teatrum tak wspaniale jako nigdy. Kobiety jak kwiaty na grzędach, a wyfiokowane, a całe okryte złotem, a śmiejące się, nie wiedzieć którą profanować, na którą patrzeć.

Ledwieśmy weszli, aż tu rumor: król! król! i N. Pan w mundurze generalskim ukazał się, któremu okrzyk i aplausz dano. Kobiety jak słoneczniki, wszystkie ku niemu głowy obróciły. Wydał mi się dobry i słodki nad podziw i za serce mnie chwycił. Pomyślałem, gdybym go za kolaną ścisnął, a o starostwo poprosił, Bóg widzi nie odmówiłby.

Nie bardzo opodał od nas siedziała podstolina ubrana do gorsu, biała gdyby pączek, a brylantów na niej jak rosy jesienią na trawie. Tę postrzegłszy moja strażnikowa, zęby zwarła i zawołała, do mnie się zwracając:

Nienawidzę téj baby!

Jam się tak ustawił, aby mnie tu nie bardzo postrzegła.

Wnet też po przybyciu N. Pana, podniosło się owe płótno malowane, które z przodu wisiało i sztuka się rozpoczęła.

Dziś już dobrze powiedzieć nie mogę, co reprezentowano, ale to wiem, że z greckiej czyli też z rzymskiej historyi, przez francuzkiego autora ułożoną była ta sztuka, i grali ją aktorowie w prześcieradłach, z nogami bosemi, bardzo osobliwie poubierani.

Nieby to jeszcze było, lecz mi się wydali wszyscy jakby napili się albo w gniew wielki jaki wpadli, bo krzyczeli haniebnie, wywijali rękami, do sztyletów się rzucali, i groza była patrzeć, co wyrabiali. A co który głośniej zakrzyczał, to mu aplandowano mocniej.

Tedy on na chwilę wracając do przytomności, kłaniał się dokola pokornie, i w tuż znown taka go złość i furja napadała jak wprzód.

Prawdę powiem, że mnie to nie bawiło, bom przyszedł myśląc że się śmieję, i że błażnować będą, a tu bójka, wrzawa, i nieszczęście tylko z końca w koniec. W ostatku jak się zabijać zaczęli, mało kto żyw pozostał.

Myślałem tedy, że, chwała Bogu, finał i do domu, ale siedzieli wszyscy. Dopiero gdy się znów płótno do góry podniosło, patrząc, wystąpiło kuso i przezroczysto ubranych panien kilka, muzyka zagrała, i jak wozną do góry wywijać nogami!

To mi dopiero komedya.

Zapomniałem się tak, że, zem się wychylił patrząc, bom ani takiego tańcu, ani takiego stroju nie widział nigdy: popchnęła mnie strażnikowa w głębi.

— Wstydu acan nie masz—rzekła mi—dopieroś się teraz obudził, gdy baletnice wystąpiły.

I jak krzyknie mi nad uchem:

— A do budy!

Szczęście, że nikt nie słyszał, bo byłbym był w tym punkcie poszedł precz i nie powrócił więcéj. A to wszystko ta jój zazdrość była.

Siadłem więc w głębi, zły bardzo; wszelako z tancerek oczów na złość jój nie spuszczał. A tum o mało nie musiał krzyknąć, bom zobaczył właśnie na przodzie wywijającą nóżkami Józkę. Zdało mi się, że śnię, że to mara, fałsz; ale nie: ona to była, ona sama—trudno jój miał nie poznać. Czulem zem pokraśniał jak szkarłat i dech mi zatamowało w piersi. Ta téż wodząc

po sali oczyma, najrzała mnie i wlepiwszy we mnie wzrok, poczęła się uśmiechać. Przez chwilę zdało mi się, jakby tańczyła tylko dla mnie.

Zagapiłem się tak na nią, że dopiero gdy strażnikowa za poję mnie chwyciwszy, targnęła tak, że omal jój nie oberwała, ocuciłem się.

Złość miałem do baby większą.

Jeszcze Jóźka tańczyła, gdy wstała, kazala mi się wybierać z sobą i nie doczekawszy się końca, poczęła wołać: — Do domu!

Gdyśmy do powozu siedli, dopieroż, nie zważając na pannę Sabinę, na nic, jak nie wsiądzie na mnie:

— Taki to z waćpana kawaler, taki konkurent, co byle smarkata jaka skoczka, to się aż wyrywasz sromu nie mając. Winsznjeż ja téj, co za niego pójdzie, bo się zajé ze złości, a pokoju godziny mieć nie będzie.

Mnie że i wstyd było i złym był, począłem się odgryzać.

— Jakim mnie Pan Bóg stworzył, takim jest — rzekłem — a jakim komu nie do smaku, przecie się nie nabijam.

Posłyszawszy to strażnikowa w płacz, a panna Sabina na mnie:

— Bój się Boga, człowiecze, litości i serca nie masz, gdy tak afekt płacisz. W ręceś powi-
nien całować... Jeszcze mężem nie jesteś, a już
dogryzasz biédnej kobiecie.

Strażnikowa chustkę na oczach trzymając, sta-
ła i płakała, wołając: niewdzięczny.

W tym terminie ja mięknę zawsze: gdyby la-
jała była, pewniebym jęj dostał, ano, ze łzami ko-
bieceni biéda taka jest, że choć która nie ma racyi,
jak płakać zacznie, człowiek głupieje i woli już
wszystko znieść, byle tego szłołania nie słyszeć.

Chwycilem ją za rękę i począłem całować.

— Pani strażnikowa dobrodziejko, Bóg mi
świadek, jeżeliś i patrzył na te stworzenia, to bez
złej myśli. Nigdy w życiu takiego widowiska
świadkiem nie byłem: co dziwnego, żem oczy wy-
rapil?

— A już ty mi nie gadaj!

— Jejmościuniu, uspokój się.

Panna Sabina wdała się téż, strofując ją za
zbytnią zazdrość, i tak we łzach i sporze wrócili-
śmy do niéj do domu. Ja nie chcąc się na nowe
wystawiać wymówki i łajania, u progu żegnać za-
cząłem, ale zmieniwszy głos kazała mi za so-
bą iść.

Aprehendowałem, że tu znown scena wypaść może taka jak na teatrum. Dalbym był coś za to, żebym grzecznie mógł odejść; popchnęła mnie pan-na Sabina, szepcząc:

— Idźże, idź; niechaj się to raz skończy.

Weszliśmy wszystko troje do jej gabinetu, dopiero chustkę od twarzy odjąwszy, rzecze mi:

— Czyż tego nie widzisz, że ja cię kocham, i że bez niego żyć nie mogę. Jużes miał tego dowód, gdym mu balamuctwo przebaczyła i powrócić kazala, a innegobym za drzwi wypchnęła i na oczy mu się nie dała pokazać.

Świadkiem Sabina, żem poodprawiała lepszych od asana, którego miluję, sama nie wiem za co i dlaczego. Więc dosyć masz tego lamentu mojego; niech się losy rozstrzygają: albo mów, że się żenisz, albo idź z moich oczów na wieki.

Rzekłszy to czekała, a jam stał jak owa biblijna żona Lotowa w słup soli obrócona; czułem że oto tu się losy mojego życia rozstrzygać mają, i to tak, nie czekając, nie mając czasu do namysłu...

Jeszcze milczał, gdy mi powtórzyła:

— Mów i kończ, niech wiem co mnie czeka.

Począłem kręćć zdala, w téj myśli, a nuż mi się uda zwłokę utargować i aby czas do refleksyi.

— Pani strażnikowo dobrodziejko!

Stuknęła nogą i przerwała mi:

— Bez tytułów i bez próżnych słów, miałeś czas mnie poznać, przypatrzyć się, w ręce całować; fuspirów było dość, mówiłeś dużo o wszelakich szczęśliwościach, którychś odemnie żądał i spodziewał się; nie wybiegasz się teraz: mów a nie bałamuc.

Przyszedł mi, podczas gdy mówiła, jeden jedyny salwowania się sposób. Ująłem ją za rękę, którą mi dała.

— Strażnikowo dobrodziejko—odezwałem się—com raz rzekł, nie odwołuję, szczęśliwości od niej czekam i ją tylko mam na myśli; lecz wiadome jej położenie moje: iż sobą nie władam, że starościnnie Motuńskiej winienem wszystko, i że jej dałem słowo uroczyste, przysiędże się równające, iż bez jej zezwolenia, sobą dysponować nie będę: tego przyrzeczenia łamać nie mogę.

Rzuciła się gniewnie, ale wnet pohamowała.

— Dobrze—zawołała—zgoda na to: chodź waćpan ze mną do gabinetu. Jest co do pisania potrzeba, napisz mi tu zaraz list do niej, iż w małżeństwie ze mną upatrujesz szczęście; a ja *post-scriptum* dołożę, iż słowośmy sobie dali, którego

dotrzymać, bodajby najdlużej czekać trzeba było, mam niezmiennie postanowienie.

Wzięła mnie tedy jak rybę w saski, nie było już sposobu się wymawiać: szedłem słowa nie mówiąc za stół. P. Sabina, która oczywiście u drzwi nadsluchiwać musiała, wnet papier od kroila i piórro podsunęła, a strażnikowa wzięła się mi dyktować. Była zaś tak baczna i niedowierzająca, że stojąc za mną, na litery, którem stawiał patrzyła i konfrontowała je, abym wyrażenia jakiego nie zmodyfikował.

List tedy stanął jak chciała, do którego ona siadłszy uczyniła *postscriptum* téj treści, jak mówiła, z wielką pokorą submitując się starościnie i polecając sercu jój łaskawemu nas oboje.

Dla większej zaś pewności, zaraz przy paninie Sabinie pierścień z palca zdjawszy, dała mi go na palec, a żem ja w zamian nie miał co dać, tylko sygnet mój herbowy na krwawniku rżnięty, zdjęła mi go i zabrała.

Tak, gdy się tego najmniej spodziewałem, zaręczyłem się z nią, i o północy odprawiony już z cznłością wielką, gdy mi przez ciemne pokoje panna Sabina idąc świeciła, wyszedłem od niej, jak pijany.

Dopiero w ulicy gdy stanąłem:

Alea jacta est!—powiedziałem sobie.—Nie przelewki! Nie puści już ona mnie... bywaj zdrów, panie Mateuszu kawalerze, skończyły się brykania swobodne, pójdiesz pod jarzmo złote!

Nim pod Orla doszedłem, choć wieczór był zimny i wiatr przeszywający, z *aprehensi* spotniałem i wprost (choć na dole jeszcze w sali głosy słyszeć było) na górę poszedłem, gdzie na kolana się rzuciwszy, jak bóbr plakał.

Jarmużka to widząc, w kącie sobie też beczeć począł, jakiegoś srogiego nieszczęścia się domyślając.

Gdy wstałem, że jeszcze się, mimo pierścienia na palcu z losem swym pogodzić nie mogłem, desperacka mi myśl przyszła.

Postanowiłem szczęścia próbować, a mąż się wyzwolę, bo mnie strach coraz okrutniejszy ogarniał.

Siadłem list pisać do ciotki starościniej, relacją jej zdając jaknajwierniejszą z tego wieczora i z listu pierwszego, że go pod dyktando i naciskiem pisać musiał, *reverenter* acz nie bardzo *volens*, i że gdyby starościnie owo projektowane małżeństwo moje nie zdało się, ja do woli jej zastosować się chcę i przyrzekam.

Jeśli w tém pewna chybrość była, księżę kanoniku, dobrodzieju mój najlaskawszy, niemaż ona mi przebaczona być, gdy o los życia mojego całego chodziło?? Im ów termin fatalny stawiania do ołtarza i wyrzeczenia strasznój przysięgi, bliższym był, tém trwoga więcej ogarniała duszę.

Ztąd i ów list do ciotki, w której ręce poddałem losy moje. Zdawało mi się, iż chociaż w liście pisanym do mnie wprzód, o projekcie się wyraziła *dubitative*, ani go pochwalając, ani odpychając, gdy tu przyjdzie wyrokować, staroscina się zawaha i konsensu grzecznie odmówi.

Dosiedziawszy mało nie do rana nad tém pismem, zapieczętowawszy je, Jarmużkę zbudziłem i przykazałem mu skoro dzień, na pocztę biedz i list oddać koniecznie.

Zdało mi się, że on wyprzedzić powinien ów pierwszy i staroscinę do niego przygotować.

Tchnąłem lżej sprawiwszy to dzieło, i całą butelkę piwa stojącą przy łóżku wypiwszy jednym tchem. ległem odpoczywać.

Stale już miałem postanowienie, bądź co bądź. byłem się rozwiązał, za wygraną dać podstolinowi, strażnikowym, starostwu, wszystkim tentacyom szatańskim, i do Jasieńca powracać, a życie prowadzić dawne, po którym nigdy ni zgryzot tyle

nie zostawało, i mętów co tn, gdzie najmilsza zabawa obracała mi się w truczynę.

Wspomnieć muszę jeszcze, iż w tych dniach jakoś, francuz na którego liczyłem, że mi pożyczone mu dukaty zwróci, przyszedł do mnie w takim stanie, iż kommizeracyą obudzał.

Mógłbym był go nie poznać, bo odzienie na nim jakieś lichie było i stare, opuchłą gębę miał zawiązaną, a dawna fantazyja opuściła go zupełnie.

Przyszedłszy do mnie siadł i odpoczywał, bo mu teln niestawało; potem mi się skarżyć zaczął na kraj, na ludzi, na los swój, na kobiety i do tego doszedł, że mi się wprost przyznał, iż nietylko zapłacić mi niema czém, ale choćby o jednego dukata prosić mni, bo jeść nie będzie miał za co.

Tak malował swój stan wymownie wielce i do serca przemawiająco, że mu z chęcią dałem dwa czerwone złote, dług dawny *ad feliciora* prolongując.

Według opowieści jego, wszystkie nieszczęścia jakim popadł, na sumienin miała strażnikowa, która mu słowo była dała za niego iść; ale do tego się nie przyznawał, iż przed nią pułkownikiem się głosił i o fortunie mówił, której bodaj nigdy nie miał.

Musiałem nieskończonych żalów jego słuchać bardzo długo, bo litość istotną miałem nad nim. O moich zaś zaręczynach kondyktowych wcalem mu nie wspomniał, tego będąc przekonania, iż one i dla niego i dla całego świata tajemnicą zostaną, dopóki starościna Motuńska nie odpisze.

Jakież było zdumienie moje, gdy w ulicy tegoż dnia Włosowskiego pocziwego spotkawszy, widzę, że mu się oczy śmieją, i rzuca mi się w objęcia.

— A to co! — spytałem — czy starostwo otrzymaliśmy?

— A co ci tam teraz po starostwie — zawołał — winszuję! winszuję!

— Czego?

— Przecie w całym mieście mówią o tém, że wczoraj po teatrze, odprowadziwszy strażnikową do domu, rzuciłeś się jęj do nóg i zmusiłeś kobietę do zamiany pierścionków. O tych zaręczynach w całym mieście dziś mówią i, dodam, co mi powtarzano, że podstolina o nich usłyszawszy, odezwać się miała z szyderskim uśmiechem, staropolską pogadanką:

„Zaręczyny, pajęczyny!”

— Ale ktoś to roztrąbił? — zapytałem niemal gniewnie, bo mi to strasznie nie w smak szło.

— Kto! albo to w Warszawie bębnić trzeba?
— rzekł— dosyć szepnąć: echo się rozchodzi szeroko...

Zmusił mnie pocziwy starowina zalać to szczęście, i wrzekomo on mnie na wino zaprosił, a jak się to stało, że ja zapłaciłem za nie, nie mogę sobie dobrze przypomnieć.

Właśnie przy tém placeniu zaszła okoliczność, której opisując moje te przygody, na żądanie księdza kanonika, dobrodzieja mojego najosobliwszego, pominąć nie mogę.

Gdy rachunek z winiarzem zaspokajał, zabrakło mi w sakiewce, tak że w drngićj izdebce, usunąwszy się, trzos odpiąć musiałem. Kartka Tepperowska już była dawno zrealizowana, liczyłem *praeter propter*, iż we trzosie coś mieć muszę. Istotnie znalazłem w nim dwa czerwone złote, i haniebniem się zdumiał.

Dopieroż do notatek, które zawsze zapisywałem, podsmowywać, wyszła ta prawda na wierzch, iż nie mogło być więcej. Co tu począć? Rachunki jeszcze w oberży ciążyły, wydatki codzienne nie pardonowały.

Włosowski, który mnie skłopotanego zobaczył, pyta:

— A co tam?

Byłem w takim sztosie, żem się z prawdą taić nie mógł.

— Pieniędzy omal! — rzekłem.

— Ba! jak w dym do strażnikowój idź: nie odmówi ci — rzekł Włosowski.

Ażem się zżymnął: za nie w świeciebym tego nie uczynił, bohy mnie związanego dało jój w niewolę: rzekłem:

— Jakom żyw, tego nie uczynię!

— A cóż będzie? — spytał Włosowski, troszcząc się poczeiwiec wielce o mnie.

— Kaduk wie! — rzekłem — ale prędzej kraść pójdę, niż u strażnikowój prosić.

Poskrobał się Włosowski i powiada:

— Znam ja tu jednego żydka, co wygodzić może; ino człek jest trochę ciężki, ale bardzo poczeiwy i uczynny...

— Wezmę i u żydka — rzekłem — niéma rady.

Stary chcąc spenetrować go wprzód sam, abym na reknę nie był narażony, odłożył to do jutra.

Rano bardzo przyszedł z tém, że żyd pieniądze da i żebyśmy do niego szli. Zaciągnął mnie na Franciszkańską ulicę, do takiego domu, gdzie jabym trzy grosze się nie spodziewał znaleźć.

Szliśmy po galeryach drewnianych, bielizną różną, na łachmany wyglądającą poobwieszanych, na drugie czy trzecie piętro, do izby czarnej, na tyle, a przez nią i przez kuchnię, do czarniejszej jeszcze. Ten żyd siedział w łachmanach, chudy, żółty, brudny, złamanego nie wart szeląga. Stołka nie było ludzkiego by na nim siąść, rupiecie straszne, smród szkaradny.

Targ w targ, pieniądze dać obiecywał, czerwonych złotych sto, z prowizją po pięć od sta. Co posłyszawszy serce mi się uradowało, ażem dowiedział się dopiero, iż to pięć nie za rok, ale się na miesiąc liczyło. Pożyczyłem na trzy miesiące, więc odchodziło z góry piętnaście, resztę zaś miał wyliczyć.

Wiele ten czyni co mnsi: zgodziłem się i na lichwę, byle nie zostać bez grosza. Podpisałem skrypt, do którego Włosowski za świadka się pisał, a że w izbie ciemno było, na dukaty nie patrzałem, prędzej chcąc wyniść z tej zadachy. Dopiero się okazało później, iż mi dał niepoczewy zdrajca, takie poobrzynane kulfony, że ich nigdzie prawie brać nie chciano.

Gdym to później Włosowskiemu wymawiał, rzekł mi, iż się to inaczej nie praktykuje, tylko kulfonami brać trzeba, a na wagę obrączkowemi

płacić; mówił mi, że to nie warszawski jedynie obyczaj, ale wszystkich stolic i całego świata. Ani-
by inaczej żyd dał.

Z moją strażnikową teraz pokoju nie miałem, gdyż na służbie po całych dniach mnie trzymała, ledwie puszczając od siebie. Zaraz wprędce jakoś nadjechał Szelażek brat jej, i ten mi wieszował, kosmatą ręką witając. Mówiono przy stole otwar-
cie o tém, kiedy wesele i gdzie być miało. Reflektowałem jejmość, że do Jasieńca wprzód nieod-
zownie muszę jechać dla przygotowania, na co ra-
mionami ruszając, już z góry zapowiadała, iż w Ja-
sieńcu (nazywała go dziurą) mieszkać nie myśli.

Z dnia na dzień listu od starościniej oczekiwa-
łem, czekała nań i pani strażnikowa, rachując jak
poczty chodzą i ile czasu potrzeba, aby tam i na-
powrót przyszły; wszystkie te rachuby zawodami
się okazywały, gdy tymczasem jam tu brnął coraz
dalej, u całego świata za narzeczonego będąc po-
czytywany.

Nie mogę się skarżyć na to, iż mi jejmość do-
syć afektu okazywała, a w domu u niej za pana
uchodziłem, i dysponowałem jakem chciał, ale też
i mną dysponowano.

Była mowa o tém, abym Orla porzuciwszy,
w tym samym domu na górze parę izb wolnych

najął; lecz oponowałem przeciw temu z téj racyi, że nie przystało dla jójmości mieć mnie pod bokiem.

Śmiała się z tego.

Na pocztę staliśmy a stali, i ja sam biegałem: ani słyhu.

Latając po mieście wiele razy zetknąłem się z podstoliną, alem czynił zawsze jakbym jój nie widział, aby uniknąć biędzy w domu. Jednego dnia jakoś, u Paschalisa będąc za sprawunkami dla strażnikowój, nie postrzegłem się jak podstolina mnie schwyciła.

Myślałem, że mi wymówki jakie czynić będzie: przywitała wesoło, jakby cale o niczém ani wiedziała, ni się domyślała.

— Cóżęśto asindziej nie łaskaw na mnie? — rzekła — trzeba się poprawić... Przyjdź jutro na obiad, nie struję cię; zjesz raz dobrze, bo w Warszawie nie chwaląc się, oprócz u króla, pani krakowskiej i u mnie, nigdzie nic pocziwego nie dają.

Drwiąco trochę pomówiwszy ze mną, gdym się ekskuzować chciał, dolożyła:

— Żadnych ekskuz nie przyjmuję. Wiem, że acana na sznurku trzymają; ano wstyd mężczyźnie, aby swój woli nie miał.

Chcąc okazać żem wolny był, mnsiałem skłamać; powiedziałem przed strażnikową, która mi strasznie bystro w oczy patrzała, że na obiad Włosowskiego zaprosilem. Było trochę niedowierzania, kwasów, alem na swém postawił.

Żem się dużo ryzykował, to pewna, bo strażnikowa dobre szpiegi miała; ale mi niewola trochę się naprzykrzyła, chciałem też raz po swój myśli pójść.

Nie mogę też zakryć tego, że mi różne przychodziły do głowy przypuszczenia: strażnikową lubilem bardzo, ale żyć bez niejbyłem się decydował. Podstolina choć starsza, miała za to preferencyą, żem z nią odrazu mógł choć na drażku sięś w senatorskiej izbie i żywota używać nie ściskając mieszkaka... Mogła też ciocia starościna na pierwszą położyć veto, gdy przeciw drugiej nie ważyłaby się słowa rzec, bo krescytywa dla Jasienieckich była w tém ogromna.

Do tego to przyszło, księżu kanoniku dobrodzieju najlaskawszy, żem ja przetarlszy się i wytresowawszy w tej Warszawie, takie górne perspektywy sobie roił i ku nim zmierzał. Wystroiwszy się do obiadu w nowinsieńki garnitur, który mi krawiec z Krakowskiego-Przedmieścia, niejaki Panacewicz arte zrobił (i to na kredyt); za-

piąwszy pod szyję gnuz po nieboszczyku dziadzie p. chorążym Drochickim, z rubinem krągłym, osadzonym brylancikami, szabelkę też czysto oprawną ze szmelcem, szedłem do pałacu podstoliniej.

Zastałem ją z jedną rezydentką, księdza starego bardzo, który chustką i nosem ciągle był zajęty, i pana jakiegoś Budryckiego, urzędnika z dóbr jéjności z pieniędzmi przybyłego. A że Budrycki ów, to z panną to z księdzem zabawiał się, byłem tak jak sam na sam z podstoliną.

Wtém i obiad podano, a co się chwaliła jéjność, że u niej tak dobrze jeść dają, iż u króla nie lepićj, mogłem zjadłszy poświadczyć, bom nigdy takich specyalów nie kosztował, ani wiem com jadł, a to pamiętam, iż każda rzecz tak smaczna była, że człowiek mógł jeść i nie czuł, iż się napychał.

Przyczém wino piwniezy jéjności pilno bardzo dolewał, a było wytrawne, mile i mocne, bez żadnego obrzasku i do głowy nie tyle szło, co animuszu dodawało.

Siedząc około jéjności, która też apetyt miała dobry, więcej jadłem niż zabawiałem się rozmową; dopiero po stole gdyśmy szli do gabinetu, kazała mi przy sobie siąść i zagaiła śmiało:

— Cóżto ja slysze, żeś się asindziej pospieszył i słowo dał czy pierścień strażnikowój? Młody jesteś, szlachcie bez maknły, posesionatus, mógłbyś był téż sobie co innego poszukać. Nie ujmuję ja strażnikowój, ale płochą dosyć była, a jeszcze się nie utemperowała: biędcę z nią mieć będziesz. Fundnszów ci téż wielkich nie przyniesie... Żal mi wasana.

Na to skłoniwszy się rzekłem—iż rzeczy jeszcze nie zaszły tak daleko, aby już kłanka za mną zapadła.

— Asindziej mi się podobales dość—rzekła z pańska—gdybyś był atentował koło mnie, wdową jestem, a mam czém przyslego męża zapomódź, kto wie czyby między nami do jakiego kontraktu nie przyszło. Prawili ci pewnie, że moi synowie nie dopuszczają mi za mąż iść: bajki to są. Pani sobie jestem, a z nimiby się nłożyć można, bo przeciwko matce nie pójdą.

Potrzebuję żwawego czleka, coby mi do gospodarstwa dopomógł, Indzie mnie kradną. Ot i ten Budrycki, dobry on jest sobie, dobry, przecie się niczego obławia i już folwark kupił.

Popatrzała na mnie długo.

Wziąłem jój rękę do pocałowania; dała ochotnie i uśmiechając się, rzekła:

— Porzuć bo strażnikową, ja waści uszczęśliwię!!

A gdym dziękował, dodała:

— Ino mnie proszę nie zwodzić: mali co być, chcę wiedzieć, abym darmo nie czekała.

Wytłómaczyłem zaraz, że lada godzina listu się spodziewam od ciotki starościny, która niewątpliwie położy veto, a naówczas ja do usług podstoliniej stawię się, i na wiekuiste jej poddaństwo się zapisuję.

Otóż z czém wyszedłem z obiadu taki poruszony szczęściem, które mnie spotykało, żem nie udał się wprost do strażnikowej, bo mi się zdało, że z oczów mych zdradę wyczyta; alem do Saskiego ogrodu pobiegł powietrza zaczerpnąć i uspokoić się nieco.

Ztamtąd, jakby mnie co tknęło, pod Orła jeszcze skoczyłem, aby włosy przeczesać i suknie odmienić, gdy na placyku Jarmużka mnie chwytła i wola:

— Panie, panie, ja szukam pana: starościna przybyła!

— Gdyby mi maczugą w głowę dał, nie byłoby gorzej; stanąłem wryty.

— Gdzie starościna? kto ci to powiedział? — krzyknąłem.

— Trzy razy pan Paweł od jęmości przychodził, aby co najpilniej do niej pan się stawil. Starościna tu od wczora, a dziś już od rana czeka...

— Gdzie?

— U kapitanowej, na Miodowej ulicy.

Nie było czasu ani o włosach ani o sukni myśleć; wiedziałem że ciotka czekać nie nawykła i nie lubi: więc w skok do niej, a z sercem thukającym się w piersi.

Co to będzie?

Wpadłem do kapitanowej jak opętany: wskazali mi na pierwsze piętro. Tu pędząc, o małym wychodzącego już Szarakowskiego nie obalił, który mi się drwiąco skłoniwszy, dalej szedł sobie. Drzwi otworzywszy, w drugiej izbie ujrzałem starośćinę siedzącą w krześle, mało co ubraną, z głową żółtą, szafranową chusteczką związaną, bo ją od drogi bolała. Błada była i marsa miała na czole.

Wprost wszedłszy, plackiem jęj do nóg padłem, nie mówiąc słowa; ona też milczała, tylko oddychanie ciężkie słyhać było.

— Dosyćże tego, wstań—zawołała—pięknieś mi się tu spisywał! Co więcćj się rozsluchuję, to czegoś dowiaduję lepszego. Pieniędzy straconych huk, a ze wszystkiego, liga.

Chwyciłem się bełkocąc opowiadać, żeć przecie, choć okoliczności były mi przeciwnie, choć się wszystko na mnie spiknęło, jednakże nie wyszedłem z próżnemi rękami; gdyńi oto przed sobą nie jedną, ale dwie gotowe partye miał, lepsze od lichych owych Siedliszcz...

Zarazem się wypowiedał ze swojej rozmowy z podstoliną.

Myślałem że to wielkie wrażenie zrobi na staroście, aż gdym skończył, parsknęła śmiechem.

— I ty myślisz, jakiś, owaki—zawołała— że ja ci pozwolę zapisać się w poddaństwo starćj babie, abyś marnie zginął nikiemnym sługą!

Poruszyła ramionami.

— Nigdy w świecie! Żeń się z kim chcesz, z młodą, pocziwą dziewczyną, choćby grosza nie miała, jeżeli serce do nićj będziesz czuł; ale z temi jćjmościami pachnęcemi, i co zwodziły takich jak same, a resztkami gonjąc, pana mćża chcą sobie kupić, pókim żywa, nie pozwolę.

Do czupków cię zamknąć każe!

A to ci, trutniu jakiś, smakuje do gotowego przyjsć, cudzem się nie pracując z bogacić, i po trupach sukcesyą zagarnąć, aby w zbytkach opływać.

A srom! a wstyd! a pfe!

Nie było co odpowiadać. Starościna wstała i chodząc, nuż muie wecować bez miłosierdzia.

— Strażnikowa mnie zna: oszalala jeśli myśli, że ja pozwolę na to małżeństwo. Dziesięć lat starsza od wasana. Podstolińcj syn rówieśnik twój, bez mała. Cóżcito życie niemile, spokój niemily? Chcesz by cię palcami wytykali, żeś się sprzedał dla lichego grosza?

Truteń jesteś! próżniak! niepoń.

Pókiś na wsi siedział, myślałam że ci się przetrzeć trzeba, aby cię nygusostwo opuściło, a teraz widzę, że z próżniaka i ciamajdy zrobiłeś się...

Rzekła takie słowo dobitne, iż go powtórzyć nie mogę; wstyd mnie oblewał, ale razem, choć nigdy w życiu przeciw ciotce starościnie buntować się nie myślę, nawet nie ważyłem się, coś mnie kłuło i popychało, żeby się jój postawić.

Nie widziałem w tém nic tak złego, żeby żeniąc się z podstoliną, odrazu bogatym się stać i z lada szaraczkowego wyjść szlachectwa. Ze strażnikową, jak sobie ciotka chciała, mogłem zerwać, niewiele mi o to chodziło; ale z tą drugą cale inne były perspektywy.

Gdy ciotka cokolwiek się zatrzymała w mówieniu, jam się odezwał. Widać, że téj śmiałości z mojej strony nie spodziewała się, bo zwrócona

ku mnie zaczęła mi się przypatrywać, jakby raz pierwszy w życiu widziała.

Mówilem tedy:

— Z przeproszeniem ciotki dobrodziejki, ja tu znowu w moich na przyszłość imprezach tak złego nie widzę. Małożto się ze starszemi od siebie wdowami pożeniło, których one uszczęśliwiły i familię ich. Po ludziach to chodzi, a ja takięj krescytywy odrzucać nie mogę.

Plnęła starościna przedemnie.

— Co ty mi tu rezonować będziesz? ty? ty? Matka mi cię w opiekę oddała, czuwałam nad tobą: nie dam ci się zbrukać i zwałać! Coto ty myślisz, honor dla ciebie wielki będzie, gdy ci dadzą tytułik, wpuszczą gdzie na pokoje, abyś im u drzwi stał? Alboto ci tak bardzo bogactwa potrzeba, które bokami wyleżą? Znasz ty świat, wiesz to, co się dla ciebie w takiem małżeństwie gotuje?

Srom, niewola, poniżenie...

Jak mi się ważysz mówić o tém, to... to nie chcę cię znać ani o tobie wiedzieć! Ani twoją ciotką, ani tobie już niczem nie będę od téj chwili.

Chciałem jeszcze coś bąknąć, jak tupnęła nogą:

— Milczeć ty, chłystku jakiś, milczeć kiedy ja mówię: mój głos to jak głos macierzyński, a kto nie szanuje macierzy, ten nie wart błogosławieństwa Bożego!

Zamilkłem sądząc, że gdy trochę ochłodnie, można będzie z nią mówić inaczej.

A tu niespodzianie zaszła okoliczność, że moja strażnikowa, która już o obiad była niespokojna, gdym zaraz po nim nie stawił się, poczęła się niecierpliwić, wysłała więc po mnie swojego zaufanego Łukasza. Ten pod Orłem mnie nie znalazłszy, gdy mu Jarmużka powiedział, że do kapitanowej poszedłem, gdyż tam starościna się znajdowała, nie wiele myśląc, za mną podążył. I w chwili gdy ja jak delikwent stoję przed ciotką, ten zuchwale zjawia się w progu i wprost na głos mówi do mnie:

— Pani strażnikowa czeka na pana i prosi abyś zaraz szedł do niej.

Starościna się zaczerwieniła i w boki wzięwszy:

— Powiedźże ty strażnikowej, że tu ktoś od niej pierwszy jest co ma do niego prawo. Cóżto, sługa, czy poddany, żeby po niego na pańszczyznę śłać? Powiedz swej pani, że ja starościna Motuńska, nie dałam mu iść i nie dam. Rozumiesz?

Łukasz popatrzywszy na innie, zaintrygował i poszedł; pomyślałem zaraz:—Otóż tobie historia gotowa...

Tymczasem ciotka chodzi po izbie i co spocznie trochę, to mi na nowo z innej coraz beczki łaje, nie szczędząc przyprawy.

Wiedząc, że z nią niema innego sposobu tylko milczeć, oparłem się o ścianę i Bogu polecając, za grzechy moje przyjmowałem.

Zmęczyla się okrutnie, kazała sobie wody zimnej dać i siadła.

Jakoś cicho się zrobiło, gdym posłyszał na wschodach szelpotanie sukni kobiecej i strach mnie jakiś wziął, choć wcalem się nie domyślał tego, co nastąpić miało.

Drzwi się otwierają i moja strażnikowa z rękami rozstawionemi leci wprost ścisnąć ciotkę.

Ta zaś z krzesła powstawszy, wyprostowana, gdyby posąg, mierzy ją oczyma; wreszcie rękę na-stawiła, aby się nie cisnęła bliżej i cofnęła.

Odrobinę się zdetonowała strażnikowa, przecie nie tracąc fantazyi, pocznie wolać w tonie poufałym i czułym:

— Starościnko! kochaneczko! dobrodziejko moja! Nie poznajeszże dawniej swój przyjaciółki?

Na to ciotka:

— Proszę asindzki siadać, proszę siadać: poznaję ją bardzo dobrze po dziełach jój.

Strażnikowa zdało mi się że zemdleje: zaczerwieniła się, pobladła, spojrzała na mnie.

— Więc byłabyś przeciwną szczęściu siostrzeńca i mojemu, gdyśmy się pokochali i zaręczyli?

— Tylko że to spóźnione kochanie a zawczesne zrzekowiny—odezwiała się ciotka.—Mam do asindzki żal, nie żeś mi go balamucila, bo to tam do konfesyonalu rzecz nie do mnie; ale o małżeństwie z nim, z tym mlokosem myśleć asindzee, coś się już po świecie uwijała, gdy on, z pozwoleniem, koszulę w zębach nosił, a toć śmiechu warto.

I parsknęła.

Strażnikowa za serce się chwyciła.

— Nie wiedziałam, że małoletni jest i pod kuratelą—odparła zwracając się do mnie.—Cóżto waćpan języka nie masz, abyś się ujął za mnie?

Ruszyłem ramionami.

— Cóż tedy ma być z nami?—zawołała gniewnie strażnikowa, a ciotka na to spokojnie:

— Nie będzie nic, bo ja nie pozwolę; odda waćpani pierścioneł, a asindzee Bóg dał jeszcze dosyć wdzięków, byś sobie drugiego chudensza znalazła do posług. Ja siostrzeńca w niewolę

zaprzedać nie dopuszczę. Jak mi Bóg miły, skandal zrobię, a nie dam go...

Wahała się jeszcze strażnikowa, wciąż ku mnie patrząc, a jam niemą twarzą okazywał, że ja tu nie mogę nic.

Porwała się tedy zburzona tak, iż myślałem, że mi pierścionek w oczy ciśnie; lecz zaraz się pomiarkowała i ściągnąwszy usta, rzekła:

— Skandalu się nie boję, a zaręczyny niezynione trzymam...

Ciotka się obróciła do mnie, wołając:

— Dawaj pierścień.

Jam go z palca zdejmował, gdy strażnikowa nie czekając, rozśmiała się złośliwie i krzyknęła:

— Adie, starościnko!

I wyszła tak prędko, że już za nią gonić nie sposób było.

Po odejściu jej, Motuńska zawołała sługę starszego.

— Idź mi pod Orla, p. Mateusza rzeczy mi tu znieść, stancją dla niego obok mojej wziąć.

— Rachunek jest do zapłacenia — rzekłem ci — cho — mnszę iść sam.

— Niepotrzeba — przerwała Motuńska — zapłacę za ciebie, a i tak wątpię byś miał czém, boś

tu, słyszę, gospodarował dobrze. Ani mi się waży na krok ztąd. Dosyć téj perebendi...

Zostałem wzięty, mogę powiedzieć w niewolę, a znając ciotkę moją najłaskawszą, miarkowałem że wyzwolenia się spodziewać niema co, aż chyba gdy do Jasieńca mnie na grunt odwiezie...

Skończyła się swoboda moja i one piękne projekta przyszłości: do kubraka wracać trzeba było po staremu.

Co najgorsza, że ciotka już nie mając nic do czynienia, wzięła mnie jak instygator delikwenta na spytki, a choćbym był chciał, duszy nie gubiąc, mówić jęj prawdę, takem się bał, iż łągać musiałem. Zaś wprawnym nie będąc w to rzemiosło, płątałem się okrutnie i dławikiem, że mi zimne poty na skroń występowały. Co jęj powiem krzywo, ta jakby o wszystkim informowana była, rzuca mi w oczy:

— Nie kłam! fałsz jest!

W końcu aż łzy mi na powieki przyszły; dopiero spojrzawszy, zinitygowała się.

— Spodziewam się dnia jutrzejszego wszystko tu pokończyć — rzekła — pojutrze rano w drogę. Niema tu co robić.

Ledwie późno pozwoliła mi odejść do mojęj stancyi obok, gdzie zastałem Jarmużkę tak strwo-

zonego jako i ja, a płaczącego sobie, bo mu było też próżniacze życie zasmakowało.

Wieczór był, a przezedrzwiałem slyszalem jak staroscina po swym pokoju chodząc, Zdrowański odprawiała. Siadłem medytując nad losem moim. Dya-beł nie spał. Począłem nowym obyczajem, czego nigdy nie bywało, buntować się przeciw opresyi starościniej.

Głosy we mnie powstały, jakby mi kto szeptał:

— Cóżto ty smarkacz jakiś jesteś? żeby cię lada kto wodził na pasku?

A nie maszto swój woli! albo to nie golisz wąsów? Nie możesz się to zerwać z tego postronka?

Staroscina luka póki widzi, że lukać można, postaw się inaczej: zlagodnieje. Później nawet przebaczy; mężczyzną jesteś; kto ci ma komenderować?

Tych pokus szatańskich posłuchawszy, a coraz nabierając odwagi, przeliczyłem co w sakiewce zostało i, niewiele myśląc, wziąłem czapkę i oponczę, do drzwi, na wschody.

Jak dałem drapaką, nie obejrzałem się aż u Orła. Myślałem czy nie zastanę tu Włosowskiego, który mi szczerym przyjacielem był; człek bywały, doświadczony: poradzi mi co czynić mam.

Ponieważ starościna mi się krokiem ruszać zakazała, więc już kryminał względem niej popelniwszy, brnąć dalej musiałem.

Wpadam na dole do jadalni, patrząc, chwala Tobie Panie, mój Włosowski drzeźnie przy butelce piwa, bo gdy sam był, nie pijał tylko to...

Obudził się gdym wszedł, a ja do niego, i począwszy ścisnąć, opowiadałam co się ze mną dzieje, w jakiej jestem perpleksyi.

— Przyjacielu, ojrze! radź mi! ratuj mnie! Nigdy w życiu się nie trafi już nic podobnego...

Strażnikowa, Bóg z nią, ale podstolina mi dobrze życzy...

Powtórzyłem mn słowa jej, dalej com miał za przeprawę z ciotką, którą choć wenerowałem, ale mi szczęście jawnie zagrażała.

Włosowski gorąco wziął moją stronę.

— Cóż z sobą zrobisz?—rzekł—jeżeli w Orle sobie weźmiesz stancję, tu cię wnet przydybią i pod cinpasein odstawią. Chodź ze mną... Na noc cię w zajezdzie na Marywilu ulokuję, a jutro...

— Cóż jutro?

— Wprost ruszaj do podstoliniej, i jej się powierz. Ta się starościnej nie zleknie, a jeśli ci dobrze życzy, łatwo jej indult zapłacić i ślub z wacpanem wziąć.

Potém rzecz skończona: Motnńska się przegniewa...

Wyśmienitą wydała mi się ta rada, i szliśmy z nim do zajazdn, gdzie jaką taką komórkę cuchnącą i zimną na noc mi dali; ale na sianie w oponczy spać musiał, bo o pościeli słuchu nie było.

Nocy téj jako żyw nie zapomnę: nie wiem czym spał i co się ze mną działo. Co się zdrzemnę, staję mi na oczach ciotka: zrywam się i krzyczę. Raz czy dwa, gdym rejwacim narobił, aż tu sąsiad, co przezedrzwi stał, wali butami we drzwi te i kluie:

— Bodajes się wściekł, ty, co z twój przyczyny oka zmrużyć nie można. Coś ty kogo rozbił, że ci sumienie dokucza?

Spoczynek ten wyszedł mi na mękę, i do białego dnia, jak dusza w czyśen jęczałem a stękał.

Żałowałem, że uciekł od ciotki, i porwał się przeciw niej: w sumieniu się czystym nie czułem. Panie Boże, bądź miłościw duszy mojej!

Nareszcie dzień się zrobił, jam się umył, polewki winnej kazałem z jajami zgrzać, bom się czuł słabym, i pomedytowawszy, że już do stracenia nie mam nic, poszedłem do palacu podstolinój.

Rano było, poszedł slugus do marszałka dworu; ten kwaśno mnie coś a drwiąco przyjąwszy, naostatek *volens nolens*, meldować poszedł. Prawda że mu dukata w rękę wcisnął, powiadając że sprawa była pilna.

Musiał oznajmić jakom chciał, bo mnie wnet puszczone, nie na pokoje, ale korytarzem do gabinetu toaletowego jójmości.

Siedziała właśnie przed zwierciadłem, a dwie służebne stały, coś robiąc około głowy jój; te, widząc mnie wielce na twarzy zafrasowanym i niespokojnym, natychmiast odprawiła: poszły precz śmiejąc się, a szydersko patrząc na mnie.

Widywałem dotąd zawsze podstolinę albo w mroku pokojów, których okna były przysłonięte, lub wieczorami; wydawała mi się więc dosyć jeszcze młodą i świeżą: teraz gdym ją w dezabilu zobaczył, prawie struchlał: inna była kobieta.

Najprzód, że na głowie jeszcze peruki nie miała, bo ta stała z boku przygotowaną, zobaczyłem więc mało co siwych włosów i łysinę w pośrodku, jakby u księdza... Sama zaś twarz, że nie była doprowadzoną do końca, żółta się okazywała strasznie i pomarszczona. Nie mówię już o tém, że bez sznurówki siedząc, choć się osłaniała, poznać

było łatwo, że wszelkich śladów młodości dawno pozbyła.

Oniemiałem prawie z tego zdumienia jakie mnie ogarnęło. Zrobiło mi się gorzko i straszno, językam w gębie zapomniał. Ta zaś odwróciwszy się do mnie, z uśmiechem osobliwym, który był krzywy jakiś, poczęła:

— Cóż ty chcesz tak rano, kochanku? Coś to tak przyleciał pilno? Rozmyśliłeś się? Gadaj!

Ja dopiero teraz w rozmysły wpadłem i zaniemiałem.

Stanęło mi przed oczyma, że ja téj babie na żaden sposób kochania poprzysięgać nie mogę, bo dnszę zgubię. Od téj com ją widywał wprzód, tak była odmienną, że się swoją własną matką być wydawała.

Ja stoję, a ona powtarza:

— Gadaj, kochanku, co-bo stoisz jak trusia?

Byłbym nie już nie mówiąc uciekł, bom strażnikową wolał z biedy, lecz nie wypadało; odezwałem się tedy oznajmując, piąte przez dziesiąte, że ciotka moja przybyła, którą za opiekunkę i osobliwszą dobrodziejkę miałem, i że od niej mój los zależał.

Popatrzała na mnie z ukosa.

— Rozmówże się acan z tą ciotką, weź stałą determinacyą i przychodź z nią, ja słowa nie cofam.

Pomyślała trochę.

— Starszy mój syn tu jest, póki ja z nim się nie rozmówię, nnikaj go.

Zawolała na służącą, a ja rad, że się uwolnię, do drzwi i prosto w dziedziniec. Ba, gdybyż!! Kiedy pędzę korytarzem, wtém mi mężczyzna słuszny, wąsaty, drogę, szeroko ręce rozpostarłszy tamuje i wola:

— Proszę asindzieja ze mną!

Nimem się ruszył, ten huknął drugi raz ostrzeż jeszcze:

— Proszę tn, ze mną.

Otworzył drzwi, wskazując mi, abym przodem szedł, i tuż krocząc w ślad, stanął wpatrując się we mnie bacznie. Ja też zmierzylemu go oczyma, i krew mi się zaczęła żywić poruszać.

Nie wątpilem, iż syn jejmości był.

— Ja wiem—odezwał się—kto waćpan jesteś i co go tu sprowadza; chciałem mu dwa słowa na osobności powiedzieć, że do pani podstoliniej, kto chce dla jój majątku w konkury, musi wprzód y ze mną i z bratem zmierzyć się, czy na szable czy na kulki.

O majątek nam nie idzie, pal go dyabli; ale matki dzieciinnalój biedaczki ośmieszać nie damy.

— Mój mości dobrodzieju — odrzekłem po chwili — omyłka jest w suspicyi pańskiej. Daję panu słowo szlacheckie, że wcale zamiaru tego który mi przypisujesz, nie mam.

— Słowo szlacheckie — powtórzył za mną drwiąc.

Tu już szło o cześć moją, śpiesznie więc dodałem:

— A kto mojemu słowu nie wierzy, poprzec je gotowem, czem wola i laska: kulka to kulka, szablą to szablą.

Pomyślał chwilę, i zbliżając się nieco ku mnie, zapytał:

— Słowo?

— Słowo!

— No, to dajmyż sobie spokój — rozśmiał się — jeżeliś chciał u jójmości grosza pożyczyć, lub jakiego faworu dostąpić, nie moja rzecz! A o konkurach proszę nie myśleć, bo one śmiertelne być mogą.

— Przeciżem słowo dał — odparłem zuchowato — jeśli ono nie starczy, na wszelki sposób służę do tańca!

Rozśmiał się i odstąpiwszy odedrzwi, z drwiącą zawsze miną otworzył mi je.

Wyszedłem nie czekając reszty.

Znalazłszy się w ulicy, przyznaję się księdzu kanonikowi, dobrodziejowi mojemu najłaskawszemu, tak byłem nieszczęśliwy, tak pogwałcony, iż mi się zachciało do Wisły iść i mizerny żywot w niej zakończyć.

Z desperacyi jednak gdyś świat żegnał już i marności jego przeklinał, myśl mi przyszła, niżeli się topić, lepiej do strażnikowej iść: tamci drzwi i serce gotowe.

Dictum factum, w skok do niej pobiegłem, i gdy do drzwi się dobijam, wychodzi panna Sabina. Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem, ponuro i nie witając, nie mówiąc dobrego słowa, rzuciła mnie u wnijsia, sama śpiesząc w głąb do strażnikowej. Uważałem że mnie wcale z tą radością nie witała, z jaką ja tu przyjętym się być spodziewałem.

Zostawiła mnie w bawialni samego; czekam: strażnikowa nie wychodzi. Tknęło mnie to. Panny Sabiny niéma téż: ja sam. Nogi drżały podemną: padłem na krzesło.

Po długim oczekiwaniu odemknęły się drzwi i strażnikowa pokazała się na progu, ale z taką kwaśną i dumną miną, obojętną, zagniewaną, jak nigdy.

Wstałem, idąc ku niej i począłem mowę od tego, że od ciotki dla niej zdezerterowałem: niech się dzieje co chce, słowo moje dotrzymuję.

— Tak??—zapytała strażnikowa—szkoda że nie wcześniej.

Dosyćem się wczoraj nakarmiła wstydu, aby się na podobne sceny w przyszłości narażać.

Chwała Bogu, nie jestem ja tak zdesperowaną, żebyś się lada szlachetce na lichój wioszczynie z ręką moją napraszała.

Masz acan swój pierścień, daj go podstolinie albo baletniczce, co ci się tak podobala: ja go nie chcę.

To mówiąc, rzuciła mój pierścień na ziemię: jam osłupiał.

Zdjąłem, już zły, z palca jej pierścień i położyłem na stole.

— Możesz acan powiedzieć swój kochanej ciotce—odezwała się głosem drżącym—że ta kobieta, której ona wczoraj nie chciała, tegoż dnia zaręczoną została z panem kasztelanem...

Stary jest, to mi wszystko jedno; ale co pan Maciek z Jasińca, to nie kasztelan i starosta.

Bywaj acan zdrów—dodała—a na przyszłość miej tę naukę, żebyś na dwu stolkach nie siedział i swoją wolę miał.

Odwróciła się tyłem do mnie i wyszła, drzwiami trzasnąwszy. Odprawiony tak, zabierałem się wyjść, gdy panna Sabina, co mi zawsze dobrze życzyła, widać nilitowawszy się nademną, wyszła po cichu i do sieni mnie przeprowadziła.

— Więc po zaręczynach z kasztelanem? — spytałem.

Kiwnęła mi głową.

— Wczoraj wieczór się odbyły — rzekła. — Cóż pan chcesz, nigdy strażnikowa pewną go być nie mogła: trzymała w odwodzie starego.

— Ale ja go tu prawie nie widywałem w domu? — rzekłem.

— Miał on swoje godziny, jak waćpan swoje — odparła panna szydersko — strażnikowa za mąż wydać się tego roku postanowiła; spotykały ją zawody: oszukał francuz, Rzepy dla nazwiska wziąć nie chciała, waćpan wahałeś się ciągle, jeden kasztelan był pewny. Ma lat siedmdziesiąt i pedogrę, ale zawsze to mąż i lepszy taki niż żaden.

To mówiąc rękę mi podala.

— Bywaj waćpan zdrów, szczęścia mi życzę; ale jak widzę, najlepiej zrobisz, gdy ciotki słuchać będziesz: sam pono do końca nie trafisz nigdy.

Naprawdę, po tej drugiej dopiero decepcyi należało mi do Wisły iść; cóż, taka jest osobliwa

ludzka natura, że teraz gdy już znikąd nadziei nie było, umierać mi się nie chciało.

Będę siedział w Jasieńcu—rzekłem sobie—biędę klepał i hreczkę siał; a com tu przecierpiał, to sobie dla nauki własnej i cudzej zakonotuję.

Pomacałem się po kieszeniach, kulfonów żydowskich było jeszcze trocha. Do ciotki iść odwagi nie miałem, czulem się względem niej winowajcą; wlokłem się więc bez celu, a nogi same z nawyknięcia pod Orła mnie prowadziły.

Myślałem, nuż tam Włosowskiego zastanę. Zastrzałem, nie było go, ale kogom się nie spodziewał i nie chciał, Jarmużkę natrafiłem, który wczoraj z pośpiechu kopyto od butów zostawiwszy, dziś je przyszedł rewindykować.

Zobaczywszy mnie jak nie przypadnie.

— Cóż się tam wczoraj działo?—pytam.

— Sądny dzień! Pani starościna leży chora, posyłali po doktora... Jak pana niestało, poczęła lamentować, posyłać na wszystkie strony: szukaliśmy, biegali, nie spala całą noc... Niech pan powraca.

Medytowałem jeszcze: jak zaczął mnie w nogi całować, a prosić, a namawiać, nie było nic lepszego do uczynienia: powłóklem się jak na strace-

nie; nie wszedłem jednak wprost do ciotki, ale do swój izdebki i siadłem.

A tu przezedrzwi stękanie słyszeć było i jęczenie; serce mi się poruszyło: nie mogłem wytrzymać dłużej. Gdy mnie zobaczyła upokorzonego, idącego ze skrucą ku sobie, wyciągnęła ku mnie ręce.

— A! ty, niedobry człeczko — zawołała — coś ty mnie za strachu nabawił! Litości nie miałeś nademną. Nie rozumiesz ty, iż ja tylko twojego dobra pragnę...

Tak się teraz stała dla mnie dobrą i łaskawą, żem się własną niewdzięcznością czuł upokorzony...

— Ciotko, najlaskawsza dobrodziejko moja — zawolałem — niech ciocia wyzdrowieje conajprędzej, zabierajmy się ztąd i niekajmy do Jasieńca. Tu mnie wszystkie pokusy szatańskie opanowały, zasadzki na słabość moję: nie chcę tego mieściska znać i wiedzieć o nim więcej.

Jeszcze przy łóżku jej klęczał, gdy drzwi skrzypnęły i szybko mi dała znak abym wstał: obejrzałem się i w progu zobaczyłem dwie kobiety stojące...

Były mi zupełnie nieznajome.

Gdy nocą starościna mocno zachorowała, a widziała się osamotnioną, posłała nad ranem list do dawniej swój przyjaciółki, téj właśnie osoby poważnej, o której ja od niej słyszałem wiele, alem jój nigdy nie widział.

Księdzu kanonikowi, dobrodziejowi memu najosobliwшему, pani ta podkomorzyna Bielska z domu Warzęcka, owdowiała Czernocka, znaną być musi, jako starościniń ukochana koleżanka i przyjaciółka: otóż ona to była.

Z panią starościna się one niegdyś razem wychowywały, ale nie widywały się od lat wielu. Z podkomorzyną przybyła starsza córka jój panna Felicyanna.

Ciocia Motuńska ujrzawszy ją, z radości wielkiej na łóżku się podniosła i, jak później doktor twierdził, że poruszenie to dywersyę zbawienną uczyniło, a może od ciężkiej słabości salwowało; mój téż powrót, nie pochlebiając sobie, cokolwiek mógł dobrodziejkę uspokoić.

Nie wiedziała ona jeszcze, jakie ja przeszedłem koleje, i żem musiał wszystkie moje niedowarzone planty w kąć cisnąć; wszelako domyślała się, że gdy wrócił skruszony, posłusznym jój będę.

Podkomorzyna zastawszy przyjaciółkę chorą, chciała koniecznie przy niej pozostać; ale że w do-

mu miała mniejsze dzieci, a nie mogła ich powierzyć na slugi, ofiarowała córkę swoją, pannę Felicjanę, żeby ta miejsce jej zajęła i starościennie służyła.

Nie zdawało się to nam potrzebném, gdyż ciocia Motuńska miała przy sobie starą Barbarę: ale gdy podkomorzyna nalegać zaczęła, aby panna Felicjana została koniecznie przy chorój, staroscina się też zgodzić musiała.

Doktor, który wkrótce nadszedł, chociaż mówił, że groźnego nicma nie, obawiał się, aby z irytacji téj róża się w twarzy nie wywiązała i z kózka wstawać zabronił.

Ja także oliarowałem się na usługi ciotki, z czego mnie wysniano, utrzymując, że żaden mężczyzna przy chorym na nie się nie zdał.

Tak tedy podkomorzanka, której ciotka weale nie znała, znalazła się nagle jakby domową i swoją, a powiem prawdę, że jam się za to nie gniewał. Jakoś z nią weselój było, a kalkułowalem, że przy obecj ciotka mnie łajać nie będzie, tymczasem zaś gniew przejdzie.

Tuby należało, abym ja księdzu kanonikowi opisał podkomorzankę; lecz próżnobył się silił, bo i najzdolniejsze pióro, zdaje mi się, nie podolałoby temu.

Napozór zdawała się panieneczka jak wszystkie inne młode: dosyć wesołych oczów, choć je spuszczać lubiła; twarzy spokojnej, gładkiej, ale niezmieć nie uderzającej, zręczna, baczna, uprzejma, i więcej nic. Pierwszego dnia wydała mi się pospolitą, a żem niedawno od niewiast wiele doświadczył przeciwności i zawodów, nie śmiałem prawie na nią spojrzeć, ani przemówić do niej.

Checiałem zaraz po odejściu pani podkomorzynej cofnąć się do mojej izdebki i tam odprawiać gorzkie żale, ale ciotce się to nie podobało: może się obawiała, abym nie umknął znowu.

— Kiedy panna Felicyanna taka łaskawa i dobra, że przy mnie pozostaje, służyć ty jej, i bądź tu na zawołanie, aby za każdą rzeczą sama biegać nie potrzebowała.

Nazajutrz dzień, u ciotki w twarzy lekka róża, jak doktor przepowiadał, rozwinęła się; ale że ją zawczasu przewidział, zapobiegł by się nie wzinogła.

Panna Felicyanna jakąś mączką twarz okładała i ziółka podawała, a jam co było potrzeba jej przynosił.

Tego dnia już spostrzegłem, gdy parę razy musiała mi w oczy spojrzeć, że miała takie wejrzenie, iż od niego człowiek zmysły tracił. Okazało się

téż, że i cała twarz cudnie była piękną, tylko ona się zdawała z nią ukrywać i nie chcieć jój pokazać. Mało téż co słów od niej dało się posłyszeć, bo strasznie była bojaźliwą i w dłuższą rozmowę nie sposób ją było wciągnąć.

Musiało to ztąd pochodzić, że, jakem z rozmowy z ciotką się dowiedział, wychowywała się czas jakiś w klasztorze.

Ja co to w czasie pobytu mojego w Warszawie tyłem różnych widział gatunków niewiast, co mi się wydawały piękne, dopierom się przypatrując pannie Felicjannie mógł przekonać, że tamte były lalki malowane, a ta żywa i prawdziwa piękność, niby kwiatuszek co się dopiero co rozwinął w ogródku.

Patrząc na nią zdaleka, myślałem sobie: nie dla psa kielbasa!

W pokoju drugim przy jójności chorój dawali nam jeść, gdzieśmy my i stara panna Barbara siadali razem. Myślałem, że choć przy obiedzie słówko jakie wyciągnę, ale nie było sposobu; do panny Barbary szeptała coś czasem pocichu, do mnie ani słowa. Spojrzała, zmieszała się zaraz, oczy spuściła, zarumieniła i udawała że nie słyszy. Jam téż napastliwym ani śmiał być, tylko na trze-

ci, czwarty dzień tak mi się zdawało, że chyba bez niej żyć nie mogę.

A że o tój ani było można myśleć, ofiarowałem się na celibat dobrowolny do śmierci.

Czwartego dnia panna Felicyanna, chociaż powrócić miała do nas, poszła na kilka godzin do domu do rodzeństwa; ja zostałem sam z ciotką, której róża już przysychała i bawiłem ją konwersacyą.

Aż starościna nagle mnie zagadnie:

— Nieprawda, Felisia jak aniołek ładne, a łagodne i mile dziewczę? Co to za szkoda! Słyszę, ma powołanie do klasztoru, a że matka się nie opiera temu, pewnie za rok, dwa, sukienkę oblecze...

Aż mi się zimno zrobiło, i ja com szczególnie przy staroście w wymownym być nie umiał, porwałem się, Boże odpuść, ze straszną zgrozą przeciw klasztorom i zamykaniu w tój niewoli nieszczęśliwych panien. Ażem upotniał perorując, a starościna mi na to spokojnie:

— Głupi jesteś! Co tobie o tém sądzić? A jak komu świat nie miły, chce się zamknąć i Pana Boga chwalić? co komu do tego? Chcesz koniecznie aby wzięła męża gałgana, coby jęj szanować

nie umiał, zwodził i po kilku latach zaniedbywał?!

Skonfundowała mnie, żem zmilczeć musiał, bo z ciocią Motuńską sposobu niéma; z nią sprzeczać się ani myśleć, palnie odrazu: głupi jesteś! i już rzecz skończona.

Dodała zaraz:

— Więcójby mi tego dziewczęcia żał było dać w ręce laclajkiego szlachcica, coby poszanować jój nie umiał, niż do spokojnego klasztoru...

Wyrwało mi się tylko:

— A któżby mógł jój nie szanować?

I więcej nie mówilem już o tém.

Bylbym może nigdy bliżej nie śmiał i nie mógł zrobić znajomości z panną Felicyanną, gdyby nie była okoliczność, żem przy grzaniu jakichś katalazmów dla ciotki, gdy ukrop miał paść na ręce panny podkomorzanki moje podstawił i okrutnie się poparzył. Zniosło mi ręce obie tak, że całe były w pęcherzach, alem ani pisał.

Panna zobaczywszy to krzyknęła, a stara Barbara która świadkiem była awantury, zaczęła mnie chwalić razem i wielce się nademną użalać. Wtém też i podkomorzanka spostrzegłszy, żem to dla niej cierpiał: na nic nie zważając, jakby się w niej co nagle odmieniło, wzięła się ręce moje opatrywać

i okładać, bo w tych rzeczach bardzo była zręczna i umiętna: prawdziwa szarytka.

Opierałem się z początku, mówiąc, że to nie było, choć mnie wściekle bolało; ukryć oparzelizny strasznej nie mogłem jednak, ani już pomocy odmówić.

Rozgłosilo się to zaraz, bo panna Barbara poszła do ciotki, chwając mnie jak się to bohater-sko znalazłem, salwując białe rączki pauny. Starościna kazała mi z rękami do łóżka przyjść, a tu się okazało, że obie były wuiwecz opalone, i panna Felicyanna musiała je poobwiązywać, a ruszyć niemi dla wielkiego bólu nie mogłem.

Pęcherze okryły palce i dłonie, ani skurczyć ich, ani ruszyć.

Myślałem sobie: nie to przeboleć, jużci się to kiedy skończy; ale tu przyjdzie z głodu umierać, bo nietylko widelca i noża, ale nawet łyżki w palce nie było sposobn.

Doktor przyszedłszy opatrzył mnie i przykazał, aby coraz nowe chłodne jakieś zalewanie na płatkach przykładąć. Miał przysłać cyrulika, gdy panna Felicyanna oświadczyła się, że nie potrzeba, bo ona sama to zrobić może, a rada nauczyć się jak z choremi obchodzić.

I wstyd mi było i rozkosz wielka, coraz te ręczyska pannie wyciągać, która tak delikatnie paluszkami okolo nich chodziła, żem ani czuł ich dotknięcia. Nie bez tego, żeby nie spojrziała na mnie, a ja na nią.

I jedną ciągle myśl miałem w głowie, jak to może być, aby taką śliczną pannę do klasztoru zamurowali.

A kłamię klasztory, Panie mi przebac, z powodu, że mi jój wielki żal było.

Zaraz drugiego dnia po tém oparzeniu, gdyśmy do stołu siedli, powiada stara panna Barbara:

— No, a cóżto będzie, przyjdzie pana Mateusza jak kanarka karmić, bo sam jeść nie może. Rozstawże gębę, ja będę podawała.

Wtém nic nie mówiąc, panna podkomorzanka łyżkę wzięwszy, niesie mi do ust z uśniechem.

Zacząłem się ceremoniować, a ta szepcze:

— Przecież to mój obowiązek, kiedy pan za mnie cierpisz!

— Dobrze — odezwałem się — ale wprzód niech tę dobroczynną rączkę ucałuję.

Zarumieniła się mocno, a panna Barbara w śmiech. Nachyliłem się i pocałowałem: jakbym się ambrozyi napił.

Więc nie bez śmiechu nastąpiło owo karmienie mnie, przy którym jeść mi się odechciało; aż słysząc chichotanie, ciotka wolać poczęła z drugiego pokoju:

— Co tam jest?

Poszła Barbara opowiadać, a tymczasem ja drugi raz w rękę ją pocałowałem: pogroziła mi i powiedziała, że jeść nie da.

— Gotówem i trzy dni z suchotami pościć dla tych rączek — rzekłem.

Konfidencyi większój nabrałem do niej i ona też do mnie śmiałości, tak, żem tylko Pana Boga prosił, aby się ręce nie goiły, a ciotce doktor leżeć kazał, by to jak najdłużej trwało.

A com sobie pomyślał o klasztorze, gotowało się we mnie.

Jednego dnia przyszła podkomorzyna do chorej, a że panna Felicjana ciągle z nami siedziała zamknięta, dzień zaś był piękny i ciepły, rzekła, że powinnyby się przejść z panną Barbarą.

A ciotka z łóżka dodała:

— Basia dobrze miasta nie zna, niechaj Maciek, choć bez rękawiczek, bo nieprędko je będzie mógł nałożyć, poprowadzi do ogrodu i nagłąda zdaleka.

Uradowałem się niezmiernie, że się tak złożyło, i choć panna podkomorzanka nie wielką miała na spacer ochotę, matki rozkazowi uległa. Tak tedy wyszliśmy razem. Panna Barbara, jak zawsze była dla mnie od mojego dzieciństwa łaskawą, tak i teraz, miarkując że mi z panną iść będzie najmiliej, wysunęła się naprzód, nas zostawiając z sobą.

Nie podobało się to podkomorzance, i kilkakrotnie porzuciwszy mnie podbiegła do panny Barbary, ale w końcu, gdy ja doganiał znowu, poszła już obok mnie, ze spuszczeniem jak zawsze oczyma.

Miałem dawno ochotę ją o ten klasztor zagadnąć, więc nie wiele myśląc, powiadam:

— Proszę panny podkomorzanki dobrodziejki, czy to prawdą może być co ja słyszałem, że jakoby panna Felicyanna zamierza do klasztoru?

— A kćóztćć panu mććwiał?—spytala.

— A ciocia Motuńska.

Zamilkła trochę, potććm zaćć odpowiedziała:

— Cććż w tććmby było dziwnego i złego?

— A juźćć, przyznam się—odparććm ogniććcie—dalibććg, że panny podkomorzanki do klasztoru szkoda: niechajby sobie szły kulawe i krzywe i stare.

Uśmiechnęła się.

— Cóżto pan Panu Bogu chcesz wybiorki oddawać?—rzekła—a możesz być szczęśliwsze życie jak klasztorne? Jam tam parę lat przebyła w takiej świętej ciszy i spokoju, w takiej mogę powiedzieć szczęśliwości, iż nie wiem czy kiedy równie już będę szczęśliwą.

— A! jak Boga kocham!—zakrzyknąłem—pani podkomorzyna nie miałaaby litości nad córką, gdyby ją za klauzurę, z za której świata nie wiadać, puściła; to się nie godzi. Ma Pan Bóg dosyć takich co Go chwala, a juści Go i bez klasztoru téż chwalić i służyć Mu można. Po cóż klasztor??

Spojrzała na mnie nieśmiało panna, a ja jakoś tak byłem uzuchwalony, że się odważyłem powiedzieć:

— Słowo daję, jak panna Felicyanna zostanie mniszką, to ja kapucynem!

Rozśmiała się.

— Złyby z niego był kapucyn—rzekła—ale z tych rzeczy lekko żartować się nie godzi.

— No, więc, bez żartu—dodałem—mnie panny podkomorzanki żalby było, że nie mogę powiedzieć jak.

Żeby nie panna Barbara, która obróciwszy się do nas, rozmowę tę przerwała, byłbym pewnie coś powiedział wyraźniejszego, bom się już był śmiertelnie rozkochał, tylkom się za język ukąsił.

Potém już w czasie przechadzki nie przyszło do mówienia ani o klasztorze, ani o moim afekcie, z któregoś się chciał zaraz jój spowiadać. Zgadalo się o wsi, o życiu wiejskiem, i panna Felicyna wydała się z tém, że na wsiby żyła ochotniej niż w mieście, gdzie ją ciągle strachy jakieś od ludzi ogarniały.

Jam też narzekał na miasto, że to jest zguba duszua, bom wszystkie moje nieszczęścia jemu przypisywał.

Ciotki choroba trwała dni kilkanaście, bo róża się dwa razy wracała; moje ręce pogoiliły się jakoś z łaski panny podkomorzanki, a ja z łaski tych moich rąk, mogłem się choć cokolwiek zbliżyć do panny Felicyny. I była dla mnie, nie mogąc powiedzieć, jakby siostra rodzona, tylko żem się jój bał. Jak spojrzała, bywało, na mnie a ostro, wnet mi buta odchodziła.

Już tedy podkomorzanka tylko kiedy niekiedy przychodziła się o ciotkę dowiadywać: tęskno było bez niej.

Raz, kiedy siedzę przy łóżku ciotki, a właśnie panny Felicjanny nie było, jakoś westchnąłem, aż starościna spojrzawszy na mnie, rzecze:

— Coś wzdychasz, a oczekujesz za podkomorzanką. Ej! widzę ja to, widzę. Mijając to, że ona zawsze o klasztorze roi, ale co tobie w głowie, żebyś ty śmiał nawet myśleć o niej?

Jakby mnie zimną wodą oblala.

— Balamut jesteś, płochy jak wszyscy mężczyźni. Niewiele czasu miałeś na swobodzie, a ileto już było projektów? Zaręczyny z tą paskudną strażnikową, od której ledwie cię ją wyratowała, a pono i innych balamutów kilka było, o których Szarakowski mi powiadał?! I temu toby się chciało takiego kwiatuszka jak ta śliczna Felisia.

Tyś na nią i spojrzeć nie wart. Ja ci to umyślnie mówię, żebyś daremnie głowy sobie nad tém nie łamał.

W sam raz dla ciebie będzie podsędkówna, ta przysadzista, rumiana, wiesz, co to ją widujesz w kościele. Ta po matce musi mieć dobrą siłę w ręku, żeby jegomości na cuglach trzymała.

Mówiąc to patrzała mi w oczy ciągle. Nie śmiałem się odzywać długo, naostatek rzeknąc:

— Ja to i sam wiem, ciocin dobrodziejko, że panny podkomorzanki nie jestem godzien. Choćby mi się jak podobała, nie pochlebiam sobie tak dalece... Ale co starościna, dobrodziejka moja najlaskawsza—dodałem—wyrzucasz mi moje bałamuctwa, te więcćj inexperiencyi niż jakiegś złej naturze mój przypisać trzeba.

— Oho!—przerwała—jak to rezonuje! patrzajcie go!

— Niechże mi ciotka dobrodziejka najlaskawsza da się choć wytłómaczyć—wtrąciłem pokornie. Od czasu jak dorosłem, oprócz szkół nie widziałem nic, miasta i jego pokus nie znałem; wpadłem tu w wir, między różnych ludzi: nawet rozeznąć nie umiałem co dobre co złe. A krewkość młoda, a ciekawość, a podżeganie.

Niech starościna przebaczy: pocóż mnie bez bakalarza puściła na to morze zburzonych fluktów, na te rapy i skały, których ja anim się domyślał...

Dokończyłem, będąc pewien że mi powie jak zawsze—„Głupiś!” ale zamiast tego szepnęła:

— No, dosyć tego: skończy się, że ty baranek niewinny, a kto zawinił? to ja!

Począłem protestować: zamknęła mi gębę. Ponieważ róża dogasala, zaczęła starościna my-

sleć o wyjeździe, ale się powietrze zrobiło ostre i doktor życzył posiedzieć jeszcze.

Starościna widząc mnie tak skruszonym, nie bronila mi na miasto wychodzić; alem ja sam mało się chciał absentować, bo mi żal było ntracić i chwili widzenia się z panną Felicyanną.

Nie miałem, zwłaszcza po tém co ciotka mówiła. żadnej nadziei, a zresztą i klasztor ów stał na przeszkodzie; zawsze mi jednak było miło, choć aby ją zobaczyć.

Witała mnie bardzo grzecznie zawsze, czasem pożartowała; niekiedy tak prawie nic nie mówiąc do siebie, staliśmy chwilkę dłuższą przeciw sobie, to patrząc, to się runnieniac. Ale ile razy się to trafiało, zaraz ją matka albo ciotka moja odwoływały.

Nim przyszło do wyjazdu, miałem jeszcze chwilę ciężką do przebycia, z okazji tych kulfonów u żyda pożyczonych. Chciałem ja je odesłać z Jasieńca, pożyczwszy u arendarza, któremu projektowałem pnieć młynek na Zagubiń, ale lichwiarz przekłety złoceńca, ani słuchać! Wpadł gwałtem ze skryptem moim do starościny.

— Co? jak? wołaj winowajcy!

Musiałem się przyznać. Dopieroż zapłaciwszy aby się pozbyć łapserdaka, jak nie wsiadła na

mnie o rachunki, gdzie ja mogłem tyle pieniędzy zmarnować?

— Pisałeś rejestryk, com ci nakazała?

— A jakże.

— Dawaj go tu!

Przyniosłem świstki, kartki, notatki; zobaczysz, jak nie zaczęcie strofować:

— A czyto tak się rachunki pisać powinny?

Niedość na tém, wzięła okulary i sylabizuje... Tu się podkrywały rzeczy takie o których chciałem, by nie wiedziała, szczególnież ta piekielna moja podróż do Kozienie. Stało tam kilka razy Jóźka! Wpadła za tę Józkę w taką pasyą, że myślałem iż mnie na wieki przepędzi.

Wytoczyły się i wydatki poczynione przez Włosowskiego, o którym jój widać Szarakowski nagadał, i na niego zaczęła się odgrażać, że stary furfant był i wydrwigrosz.

Musiałem stanąć w obronie starego przyjaciela i mocno się za niego ująłem, ale była uprzedzona.

Od fracza kazala mi koniecznie pożyczone dwadzieścia kilka do trzydziestu dukatów odbierać, a jam wiedział, że on już podówczas z powodu chorobyśka jakiegoś w szpitalu leżał.

Ten dzień i drugi następny do ran Pańskich ofiarowałem, bom się miał zpyszna jak nigdy. Nie pożałowała mnie starościna. Co skończyła, zdawało się, to zaczynała na nowo, notatek moich z rąk nie puszczając—a toż to co jest? a to co znaczy?

— A dam ja ci Józki do Kozienie wozic! dam! a na jedną wiecezrę po kilka dukatów tracić! Myślisz że u ciebie na wyżarach w Jasieńcu dukaty jak manna się rodzą!

Księżę kanoniku, dobrodzieju najosobliwszy, żem ja w téj ekspedycyi méj do téj Warszawy zawinil wiele, żem plocho postępował, żem sam w ogień lazl, prawdę wyznając, spowiadam się i kaje; ale niechże mi policzoném będzie, co'm od starościny za to wycierpiał, bo mnie nie żalowała.

Dwa dni cale nie było pokoju, a że jednego dnia przyszła podkomorzyna, kiedy ciotka była w wielkim ferworze na mnie, zdaje mi się, że nawet przed przyjaciółką się na mnie skarżyła. To mnie zabolalo najokropniéj: a nużby panna Felicjana dowiedziec się miała i mną pogardzić jako ostatnim z ludzi. Ciozia Motuńska kiedy w pasyą wpadnie, gotowa była i o Jóźce powiedziec!

Choć pod ziemię włéz ze wstydu.

Trzeciego dnia jeszcze po téj burzy podgrzmiewało, dalej kazano się w drogę gotować.

Poszliśmy z starościną do podkomorzynéj na pożegnanie. Tu mi się udało szczęśliwie, żeni przy krosienkach siedzącej panie Felicyannie powiedzieć mógł:

— Jedziemy, panno podkomorzanko dobrodziejko, a ja już pono jako żyw, panny nie zobaczę; a choćby tak zrządzil los okrutny, nigdy przecie nie zapomnę o niéj: tak mi Boże dopomóż, nigdy!

Podniosła oczy z krosienek i popatrzywszy, rzekła:

— A dlaczegoż nigdy?

— Ja już z Jasieńca pono się nie ruszę, a nuż panna podkomorzanka do tego klasztoru!!.. to, na wieki Amen!

Czekałem długo na odpowiedź, aż szepnęła cicho:

— Mama na klasztor jeszcze pozwolić nie chce.

— No, to pannę podkomorzanke za mąż wydadzą—odezwalem się—a to, gorzej jeszcze, bo...

— Ja za mąż wcale iść nie myślę—przerwała bardzo żywo, i zaczęła pilno, spuściwszy głowę, szyć na krosienkach.

Takeśmy się rozstali, a starościna prawie mi się nie dawszy już z nikim żegnać i widzieć, zabrała mnie z sobą nazajutrz w drogę.

Jechaliśmy razem aż o półtoręj mili od Jasieńca do austeryi na trakcie. Tu kazawszy stanąć, zawołała mnie do powozu ciotka.

— Jedź wprost do domu—rzekła—a weź się jak należy do gospodarstwa: zobaczysz i przekonasz się, co to jest kilka miesięcy w domu nie być i ludzi z oczów spuścić. Bywaj zdrów, na święta Bożego Narodzenia, na Wigilią żebyś mi był wczas.

Jakem do Jasieńca jechał, tego opisać nie potrafię. Odeszły mnie owe balamuctwa miejskie i płochę myśli: strach brał co ja tu zastanę...

Jakoż w istocie poczuwszy od granicy, było się czém zafrasować, a już w domu, wypowiedzieć trudno co się działo.

Stary ekonom rady sobie z ludźmi nie mógł dać, rozpuściło się to na dziadowski bicz. Na folwarku brewerye, historye; gospodynię trzeba było zaraz precz wysadzić, parobczaków dwu na wieś odpędzić, chłopca co w piecu palił, do chaty oddać: tak się to wszystko porozwydrzało.

A jak zajrzałem do kassy, do rachunków, do kwitków arendarza, do spichrzów, strach a gwałt.

Musiałem sam, koźnuch zaraz wdziawszy, od rana do nocy rekuperować co się straciło i co rozprzegło wiązać a latać.

Do Bożego Narodzenia ledwie udało się zejść z czasu ani się opatrzył. Pojechałem do starościny, obawiając się burzy za dawniejsze grzechy; obeszło się bez niej, tylko wzięła mnie na ścisły egzamen. i wyszedłem z niego nieźle.

Drugiego dnia świąt, przy wszystkich, a była w dobrym humorze, zagadnęła mnie:

— A co? o tę krępą podsędkównę nie myślisz się starać? He? żona ci już potrzebna, abyś na wsi za Warszawą nie tęsknił: nie prawda, księżo dziekanie?

Dziekan regularnie potwierdzał co staroscina powiedziała i tym razem rzekł:

— Ale, pewnie! Żenić się! żenić! Tak i św. Paweł przykazuje!

— Słyszysz? św. Paweł! — dodała ciotka — więc żywo o podsędkównę.

Nie ja nie miałem i nie mogłem mieć przeciw tej podsędkównie, bo dom był zacny, panny bardzo gospodarne, a ta starsza, krępa zastępując matkę, która przed dwoma laty zmarła, prowadziła gospodarstwo, i jak mnie zapewniano, za sam mak i cebulę, sobie i siostrze ofiarowała się wyprawę

zrobić. Wędliny u niej i sery były na okolicę najslawniejsze. Wszystko to prawda: jeść u panny podsędkówniej, czemu nie, jadłbym był chętnie; ale się z nią żenić, nigdy w świecie.

Twarz miała rumianą, pyzată i choć zęby piękne, ale usta od necha do necha. No i tak, i ze wszystkiém mi nie była do gustu.

Więc gdy ciotka zagadnęła o krępą podsędkównę, a św. Pawła sobie wzięła do pomocy i dziekana, żeby próżnej sobie illuzji nie robiła, odczwałem się:

— Weneruję podsędkę i całą rodzinę jego, ale żeby się tam żenić, nie mogę.

Starościna w śmiech aż się zaniosła.

— A to dlaczego?

— Bo sercu nakazać trudno, a ono mnie tam nie prowadzi.

— O! ja bo wiem—zawołala ciotka—coby asann było do smaku!

Podkomorzanka! śliczny ów kwiatnszek, kochany; ale ją sobie wybij z głowy, bo ona ma powołanie do klasztoru, a gdyby i nie, za ciebieby jej nie dali, i nie wart ty jej jesteś.

Takem się zarumieniał jak wiśnia. bo odgadła mnie. Nie miałem żadnej nadziei, juścić prawda;

a jednakże z myśli mi podkomorzanka nie wychodziła.

Takim głupi był, że do niej wzdychał, wiedząc że z tych westchnień nikomu nie.

I do tego się przyznam, że gdy węgier raz przechodził, z tych co noszą landszafty i koper-sztychy, najrzawszy u niego jakąś świętą malowaną, która była cokolwiek do podkomorzanki podobną, kupilem ją, talara mi dawszy, i kazałem szklarzowi w Łomazach oprawić, a nad łóżkiem powiesilem, nie żeby się modlić do świętej patronki, ale żeby do tego cienia panny Felicyny wzdychać. Co, jeżeli grzech jest, księżę kanoniku, dobrodzieju najlaskawszy, z niewiedomości go popełniłem.

Tak mi te święta zeszły, anim się postrzegł, a po Trzech Królach do domu wracał. Wiosna była u nas wczesna, puściło już pod koniec lutego. Oszło w marcu, i pod owies trzeba było orać, aby go co najprędzej siać, póki rola mokra, bo to dowiedziona rzecz: rzucisz w błoto, będzie złoto.

Zająłem się gospodarstwem tak, że (Wielkanoc była późna, pod koniec kwietnia) w Wielki piątek posiawszy groch, prawiem się z jarzyną uporał, niż święta roboty przerwały.

We czwartek przyjeżdża posłaniec od starościnój bez kartki, tylko z gębą, ażeby w Wielką sobotę na święcone przybywał nieodmiennie.

Jechałem tedy dosyć dobrój będąc myśli i przybyłem późno, bo mi w drodze koło puściło, i godzinę z niēm straciłem.

Wjechawszy w dziedziniec, patrząc: powóz stoi cndzy, duży, piękny przeł wozownią. Pytam służącego kto przyjechał?

Coś bąknął: nie dosłyszałem.

Kiedy wchodzę do bawialni, dopiero ogłupiał: na kanapie siedzi podkomorzyna, a na krzesle podkomorzanka.

O wlos nie popełniłem tego kryminału, żem naprzód nie rzucił się p. Felicyanę witać; szczęściem w porę rozzum przyszedł, ale mi się we łbie zakręciło tak, żem nie wiedział jakem szedł i o krzeselkam się tłukł, jakby miejsca nie było do przejścia.

Zkąd się tu podkomorzyna wzięła, nie mogłem zrozumieć; dopiero się wyjaśniło gdy rzekła, że na Ukrainę wybrała się do matki starszki, a święta jej u przyjaciółki wypadły.

Panna Felicjanna ani przy powitaniu, ani później słówka do innej nie powiedziała, a ja com na nią spojrzal, krew mi przystępowała do

głowy. Miłosierny Boże! jakaż bo była piękna! jaka piękna!

Nie wiem co się jój stało? była niby też sama, a inna, daleko jaśniejsza. Bily od niej blaski, świeciła jak słońce: dość było na nią patrzeć, aby się czuć szczęśliwym.

Tylko że i patrzeć nawet bardzo nie mogłem, bo ciotka mnie szpiegowała takim wzrokiem szyderskim, że mnie i wstyd brał i gniew na nią.

Po wieczery zbliżyłem się jakoś trochę, ale niżej przemówił, jnż mnie odpędzono.

Nazajnt rz przy święconém kazala mi ciotka gospodarować, roznosić, podawać, więc miałem zręczności trochę się zbliżyć razy parę. Zamiościem indyka, a drugi raz mazurki; ale szczęścia nie miałem: odmówila mi. Mimo to dzień zszedł szczęśliwy dla mnie, i po święconem w ganku, bo było ciepło, coś nie coś udało się szepnąć i posłyszeć.

Dowiedziałem się, że na św. Piotra i Pawła, z Ukrainy będą powracać i pewnie znówu tu wstąpią, gdyż było po drodze.

Wieczorem, jak się wszyscy porozchodzili, gdy dobranoć dawałem ciotce, ta mi powiada:

— Choćbys podziękował, żem cię na święcone prosiła: popatrzyłeś przynajmniej na podkomo-rzanke. Cóż, zawsze ci ona w głowie?

— Nietylko w głowie ale i w sercu—rzekłem—a co z tego? kiedy to nie może być?

— Ja bo ci mówię—roześmiała się—żeń się z podśdtkówną, tę sobie z głowy wybiesz.

— A po co mam się tak w skok żenić?—za-pytałem—albo to mi pilno?

Przez trzy dni atentowałem ciągle przy pan-nie Felicyannie i jakoś mi nie przeszkadzano, a ona też do dawniej ze mną poufaleści wracała. Z nią i z siostrą młodszą chodziliśmy po ogro-dzie. Zbierałem im kwiatki, trochę się biegalo; ale com chciał o coś większego zagadnąć, albo o sobie coś powiedzieć, zaraz rozmowę zwracała.

Przed samym odjazdem, bo już dnia następne-go miały do dnia ruszać na tę Ukrainę, i powozy pakowano, staliśmy w ganku, a mniejsza Marcy-sia biegła, odezwałem się:

— Panna Felicyanna nie wie, że ja się do niej codzień modłę?

— Co pan mówisz! to się nie godzi.

— Słowo daję—dodałem—kupiłem sobie u wę-gra kopersztych do niej podobny, powiesiłem nad łóżkiem i pacierze przed nim odprawiam. Tyle

mojej pociechy, tyle życia mojego! Nie mogę jej zapomnieć, odtęsknić po niej nie mogę: com winien, żem się na śmierć, na zabój rozkochał. Czyste moje kochanie i wiekuiste, choć nadziei nie mam...

Spuściła oczy w ziemię i stała jak wryta. Mnie się na taką odwagę zebrało, żem ją za rękę wziął.

— Panno Felicyanno! nie bądź okrutna. Rzeknij słowo, że nie bronisz, że pozwalasz.

A tu tak jakby liście szemrały, gdy je wiaterek ruszy.

Słyszę:

— Nie bronię.

Obejrzałem się: już jej niema!

Jak szalony wpadłem do salki, wprost do starościny.

— Proszę ciotki dobrodziejki, mam słówko do niej.

— No, to mów.

Skinąłem, że muszę na osobności z nią mówić, na co ruszywszy ramionami, wstając odezwiała się głośno:

— Cóż ty za sekreta możesz mieć do mnie! Zawsze u ciebie pstro w głowie.

Wyszła jednak do drugiego pokoju, ciągle mnie trzymając na oku. A tu, gdy ja najpilniej pragnąłem jęj opowiedzieć wszystko, zaklinać i obligować, aby się szczęściu mojemu nie sprzeciwiała, język mi skolowaciał. Splątałem się, i co pocznę: starościno! ciotko! dobrodziejko! to się zająknę.

Radbym wszystko naraz z siebie wydał, dusi mnie; wyrazy się cisną, łykam: słowa nie mogę rzec.

— Co tobie? czyś zwaryował? co się stało?

W końcu widząc, że na mnie poty biją, krzyknęła:

— Ale cóż się stało? czego to nie możesz wykrztusić! Będziesz ty mi mówił? Co to jest?

Dopiero ja w pokorę i na kolana.

— Ciotko dobrodziejko, ja chcę prosić o rękę podkomorzanki! Jak ty mi nie pomożesz, a sprzeciwisz się, życia się wyrzeknę.

Na to starościna po swojemu:

— Głupis! — rzekła — gdzie? co? tobie do podkomorzanki? żebyś się na harbuza naraził i mnie z moją dobrą przyjaciółką powaśnił?

Gdzie głowę masz? Przejrzyjże się, gamoniu, w lustrze! a popatrz na ten kwiatek. Toby do-

piero był prawdziwy kwiatek przy kożuchu! Co ci się sui?

Jaś ją tymczasem po rękach całował.

— Cioteczko! Starościno najlaskawsza moja...
Jabym tego nie chciał uczynić, gdyby... gdyby mi
panna Felicyanna nie pozwoliła.

Starościna przystąpiła do mnie z ciekawością.

— Ona? pozwoliła ci? ale to nie może być?

— Jak Pana Boga kocham! pozwoliła! — krzyknąłem, bijąc się w piersi.

Na to już starościna odpowiedzi nie mając, przybrała bardzo poważną twarz.

— To już cud nad cudami! — rzekła — nigdy-bym takiego szczęścia dla ciebie nie spodziewała się. Jeżeli ono w istocie spotka cię, podziękujże Panu Bogu na kolanach, boś go wcale nie wart! Chyba modlitwy matki twojej sprawić to mogły.

A widząc mnie jeszcze tak poruszonym, że do siebie nie byłem podobny, zakomenderowała:

— Idź na dziedziniec, przejdź się, napij się wody; do czego ty jesteś podobny? Czysto szalony!

Wybiegłem posłuszny do kredensu tylko, gdzie wiadro stało, i wodym się dobrze napił; ale że mi strasznie pilno było co się stanie, jak starościna

mówić będzie, natychmiast nazad podedrzwi się podkradłem.

W bawialnej izbie cicho było, tylko podkomorzyna na wielkich prątkach coś welnianego tkła, a starościna siedziała przy niej mileżąca.

Wtém słyszę, ciotka się odzywa:

— Co ja ci powiem, moja droga. Oto ten mój głupi Matensz ubzdrył sobie zakochać się w twojej ślicznej Felisi. Próżnom mu się starała wybić z głowy; prosi mnie i zaklina...

Nastąpiło milezenie.

— Moja kochana—zwolna poczęła podkomorzyna—ja, doprawdy, sama nie wiem jak ci odpowiedzieć. Ty go znasz lepiej. Chłopak zdaje się choć nieśmiały, ale jakiś dobroduszny i, cóż? ma on co? mów. Ja córki się zbywać ani chcę, ani potrzebuję; ale, gdyby, gdyby ona się zdecydowała, dała nakłonić, a wybila sobie ten klasztor z głowy...

Ale, naprzód, cóż ty o siostrzeńcu sądzisz? znasz go najlepiej, a ja na twoje serce dla nas spuścić się mogę.

Myślałem, że się w ziemię zapadnę, bo wiedziałem jak ciotka sądzi o mnie i byłem pewny, że mnie pięknie odmaluje...

Jakiś czas pomileczawszy, starościna poczęła:
Raptularz.

— Nie orzeł, moja podkomorzyno, to prawda, ale natura zdaje mi się łagodna i dająca się prowadzić, może do zbytku. Posłałam go była, jak wiesz, do Warszawy, starać się o to nieszczęśliwe starostwo siedliskie; wcale mi się nie spisał, głupstw narobił dużo, szczęściem żadnego śmiertelnego.

Wioskę ma niezłą wcale, długów na niej prawie żadnych; no, nie chcę obiecywać, ale i sperandymby się znalazły.

Pomilczala podkomorzyna.

— Nie byłabym przeciwną, wiesz, trzy ich mam, no i syn; posagi niewielkie, świętego maryażu spodziewać się trudno.

Westchnęła.

— Ale nam o żaden posag nie chodzi; jestem pewna, że ci ją weźmie Maciek, choćby i bez wyprawy, byleś mu ją dała...

Zaczęły coś szeptać z sobą, czego już dosłyszeć nie mogłem: ważyły się losy moje. Wymknąłem się z pokoju, i sam nie wiedząc jak znalazłem się w kapliczce w ogrodzie, gdzie padłszy na kolana, począłem się modlić, nie modlić, ale szturmować do Pana Boga, do Matki Boskiej, do św. Matensza, patrona mojego, do św. Antoniego, którego ołtarz stał na boku...

Nie rychło dopiero, ażem poczuł, że mi kolana drętwieją, boim upadł na cegły potłuczone, wstałem i powlokłem się do pokoju.

Wychodzę w dziedziniec a tu Jaśko, chłopiec z kredensu, leci jak oparzony przeciwko mnie.

— A ja pana szukam: wszystek ogród zbiegałem. Starościna prosi, niech pan spieszysz: pan wie, że jéjmość nasza czekać nie lubi.

— Gdzież czeka?

— W garderobie.

Wpadam do garderoby.

— Gdzieżeś ty się znów podział? Czysty waryat! — zawołała.

Nie śmiałem się przyznać gdzieś byłem. Wtém starościna popatrzywszy na mnie, rzecze:

— Otóż widzisz, żeś harbuza dostał!

Ja jak stałem, tak mi się zrobiło we łbie mętno, i musiałem się o ścianę oprzeć, a ciotka zobaczywszy to, woła:

— Otóż mężczyzna! wstydź się! I to tobie żonę dać.

Ale zaraz zmieniając głos, dodała:

— No, no, żart żartem; po wieczery oświadcę ja ciebie podkomorzynie przy paunie, bo na to pozwolenie mam. Jeżeli panna Felicyanna przeciwną nie będzie...

Plackiem do nóg jęj padłem, i całować zacząłem je...

— Nie bądźże kpem—odezwiała się ciotka półzartobliwie. Pójdź się umyć, oczyścić, a jak przyjdiesz do pokoju, nie rób min i nie wyglądaj śmiesznie, bo pannę zrazisz...

Dala mi rękę pocałować...

Już jak ja tam w izbie się znajdowałem nie wiem, podkomorzanka ani spojrzała na mnie: siedziała czerwona strasznie i robiła pończochę.

Czasu wieczery, choć naleśniki były z powidłami, które ja, bywało, tuzinami jadalem, nicem nie tknął.

Nie będę księdzu kanonikowi, dobrodziejowi mojemu najlaskawszemu opisywał, jak po wieczery, ciotka starościna przystąpiła do rzeczy; wie ksiądz kanonik najlepij, że ona i przed tronby wystąpić mogła, a umiałaby swoją rzecz powiedzieć gładko i rozumnie, nie zająknąwszy się. Co innego ze mną, to ona sobie z góry nie dobierając wyrazów, palnie co jęj przyjdzie do myśli; a tu jak się odezwiała do podkomorzynęj, żaden prokurator lepijby sprawy wyprowadzić nie potrafił.

Stałem ja winowajcą, na którego ferować mają wyrok życia lub śmierci; alem zaraz trochę nabrał

mężstwa, gdy podkomorzyna odpowiedziała, na córkę zdając się.

Panna Felicyanna podbiegła do matki i w uścisku jój rozplakała się; ja z drugiejj strony do kolan jójmości, i koniec końców zamieniliśmy pierścionki.

Tej chwili życia mojego, gdy mi podkomorzanka podała pierścień, a ja ją w rękę pokłaklszy całowałem, nie zapomnę gdybym sto lat żył, do śmierci.

Zaraz téż jakby z nas wszystkich wielki ciężar spadł, wesolo się zrobiło.

Postanowiono, ażeby podkomorzyna do matki jechała na krótszy czas, dla wyprawy i przygotowania do wesela, które ułożono, żeby ostatnich dni septembris się odbyło. Chciała podkomorzyna zwlec, a wtém mi ciotka pomogła, że na september nastąpiła zgoda.

Ponieważ wyjazd, jak był nazajutrz ułożony, tak go nie zmieniono, ja do dnia siadlszy na koń, co mi z pod swojego kozaka dać kazala starościna, jeszcze dobrych mil pięć, podkomorzynę przeprowadzałem aż pod Brześć.

Wnet téż do domu trzeba było powracać, bo roboty miałem huk, żeby gniazdko wyporządzić, dla mojej najniłszéj, która niém nie pogardziła.

Na wyjazdne ciotka dobrodziejka, jak to ona zwykła była, wzięła mnie jeszcze dla instrukcyi, żeby to było tak, to tak, o najmniejszej rzeczy nie zapominając, w niczem mi prawie woli własnej nie zostawując, ale też czego mi brakło, ze swojego dokładając.

— A patrzaj, żeby mi tak było, jak mówię, inaczej!! łaskę stracisz. Przyjadę sama na oględziny, a ty wiesz, że ja żadnego kątką tam nie zapomnę obejrzeć. Patrzaj!

Kopnąłem się do Jasieńca, szczęśliwy jakby mnie kto na sto koni wsadził. Tu, prawda, nie wiedzieć od czego było poczynać: bo i płoty i ogrodzenia i mostki, i dach na dworze i podłogę w bawialni, mnsiałem znowa dawać; majstrów z Łomaz, z Białej, z Kodnia, gdzieś o jakim zasłyszał, sprowadzać.

Upłynęło jakoś dwa tygodnie, a mnie się zdało, że ledwie trzy dni. Jednego ranka, kiedy ja z tymi oto majstrami kłóć się, bo to strach, co za opojusy były, że ani piwa, ani wódki im nastarczyć i jeszcze do szynków chodzili, ażem mnsiał zakazać im dawać, tedy, gdy się sierdzę i kłóć z nimi, jedzie mój pacholek, com go musiał na pocztę ślać, bom się listu spodziewał z Warsza-

wy z wiadomością o inateryi, któram zapisał aż ztamtąd.

Dobywa z torby jeden list, a potém kopertę dużą, nieznajomą ręką zapisaną, z pieczęcią jakąś okrutną, a na tytule stoi:

JM. Panu Mateuszowi
Jasienieckiemu,
Staroście Siedliskiemu i t. d.

Cóżto jest? myślę sobie, omyłka czy kpiny! Gorąco mi się zrobiło, rozerwałem kopertę; aż w liście stoi, że Szarakowski mi donosi, iż król przywilój na starostwo podpisał, a na kosztą kancelaryi i pieczęci, żebym przysyłał pieniądze.

W *postscriptum* dodał Szarakowski: „*Admodum* uwielbiam postępowanie wp. dobr. żeś tak skuteczne starania czyniąc około starostwa, iż je potrafiłeś wydrzeć innym kompetytorom, przecież nie chelpiłeś się przed czasem z tém. Winszuję sukcesu, którego *sincere* powiadam, wcale się nie spodziewałem. Sądzę, że i jw. starościna równie tym ewentem zostanie zdumioną i szczęśliwą.”

Zaraz mi na myśl przyszło, iż nie kto inny, tylko poczciwy mój starowina Włosowski tak skutecznie chodził około interesu. Aże, gdy jeszcze tak medytuję, patrzę na liścik drugi, który

mi przywieziono. Na kopercie nagryzmołono, li-
cho więc po jakimś, atramentem bladym, z pomył-
kami; tylko że się domyślić, że do mnie: koper-
ta krzywa, pieczętka od dwuzłotówki.

W środku na kartce:

„Musiałam się wywdzięczyć za kłopot ten
w Kozienicach, dopilnowałam aby przywilej na
starostwo był. A co? Czasem i małe stworzenie
zda się. Adie.“

Tu dopiero sęk! jakby, broń Boże, doszło to do
starościny, bo jeden ksiądz kanonik, dobrodziej
mój najosobliwszy, masz to wyznanie tak jak na
spowiedzi.

Natychmiast poszedłem do kredensu, i list
i kopertę w ogień rzuciłem, tak, aby nikt z ludzi
nie widział.

Ale co ja powiem staroście! Nazajutrz
posłaniec z gębą znowu, bo Motniska, jak księ-
dzu kanonikowi wiadomo, pisać nie lubi, abym
wszystko rzuciwszy, stawiał się zaraz do jejności.

No, pomyślałem, więc o co idzie, ale o Jóź-
ce, że nie bąknę, to pewna, bo i wstyd i nie go-
dzi się.

Siadłem na konia i naprost zaraz, na rozkazy.

Ciotka z wesolą twarzą do mnie podchodzi.

— Patrzajcie! patrzajcie! to dopiero furfant: przed starą ciotką komedye gra i sinrprzyzy robi!

Któż u licha ci to starostwo wyrobił? Gadaż! Przechwyciłam się otrzymawszy list od Szarakowskiego. Co to jest?

— Ale to ten stary Włosowski! pewnie—rzekłem dlawiąc się kłamstwem mojem.

Starościna głową zaczęła kręcić.

— A to end, waćpan jesteś dziecko szczęścia —dodała —żeby i Felisję i starostwo dostać! Nie-widziane rzeczy!

Patrzała na mnie, nścisnęła, pocałowała.

— Włosowskiemu trzeba posłać prezent — rzekła.

— Ja mu już się odwdzięczę—rzekłem mydląc —niech ciotka będzie spokojna.

— Muszę sobie Włosowskiego tego zanotować, bo to jakiś człowiek skuteczny, a nie chępliwy.

W kilka dni pojechałemże ja do tych Siedliszcz. A, Panie miłosierny, com ja tam zastał!

Bralemci tę biedotę jak po tatarach! Ludzie zbiedzeni, pola pozapuszczane, budowle napół poobalane: ani plotu, ani rowu, ani mostu.

Włosy mi na głowie powstały, coto tu trzeba wpakować, nim się choć kapka wyciągnie. Jak się zaczęli starostowscy ludzie do mnie zbiegać

z żalami, z płaczem, z pretensjami do antecesorą, przedź się ztamtąd wyniosłem niż chciałem.

I małe to było, i liche i zniszczone; przecie tytułik, jak ów kluczyk co go wieszają przy zegarku, pan starosta! a może pocierpiawszy, kiedyś i jaka percepta.

Przyznaję się, że *excepto titulo*, któremu rad był, zresztą jak na początek mojego gospodarstwa, po ożenku, wolalbym był tego ciężaru nie mieć.

Starościna Motuńska, która wszystko na swe oczy widzieć chciała, a na relacye się nie spuszczała, pojechała też do Siedliszcz. Myślałem że się rozchoruje powróciwszy.

— A toć gorzej bisurmanów niewiernych: to rozbójnicy! — wykrzykiwała i odgrażała się.

Chciała, bym się do kata zrzekł starostwa, bo to były pustki, ale sama potem się poniarowała, że lepszy rydz niż nie. Tylko, że do rydza tego masła musi pójść więcej niż on sam wart.

Otóż, księże kanoniku, dobrodzieju mój najlaskawszy, nie relacya wierna, ale powiedzieć mogę, spowiedź szczerą z tego wszystkiego com ja wycierpiał, pobłdził, i jak mnie Opatrzność Boża salwowała, na dobre obróciwszy, co ja ku zgubie własnej przez głupotę moję kierowałem.

Wesele, daj Panie Boże doczekać téj szczęśliwości, na św. Reginę męczenniczkę postanowione pewnie, a ja śniem pochlebiać sobie, u nóg stryja dobrodzieja, pokorną prośbę moję składając, iż nie odmówisz, a zechcesz synowcowi jedynemu pobłogosławić i przy ślubie celebrować, o co, oprócz mnie, starościna Motuńska i pani podkomorzyna upraszają wraz ze mną.

W nadziei, iż suplice mojej odmówić nie zechcesz, a szczerą tę spowiedź przyjmiesz pobłażliwie, submituję się i stopy stryja dobrodzieja najlaskawszego całując, zostaję z najwyższą weneracyą i zupełném oddaniem się,

pokornym jego podnóżkiem i przywiązanym
synowcem.

Mateusz z Jasieńca Jasieniecki,
starosta siedliski. m. p.

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JIK **451**



JIK0451